

Kathie DeNosky

Tornado

Niektórych rzeczy najlepiej wyuczysz się w ciszy,
Innych podczas największej nawałnicy...
Willa Cather

ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Katie, to, co ci teraz powiem, na pewno ci się nie spodoba.

Katie Davidson, wpatrzona w mapy pogody i ostatnie prognozy, przypięte do korkowej tablicy za jej biurkiem, machnęła niecierpliwie ręką.

- W takim razie wyrzuć to z siebie jak najprędzej, Darryl.

- Ja... ja w tym roku nie pojedę z tobą.

- Co?!

Mapy i prognozy natychmiast poszły w zapomnienie. Katie odwróciła się tak szybko, że jej własny, rodzony koński ogon chlasnął ją w policzek. Odwróciła się i wbiła oczy w człowieka, który nerwowo przestępując z nogi na nogę, stał w drzwiach.

- Żartujesz, Darryl.

Pokręcił głową prawie niedostrzegalnie, za to twarz pełna skruchy świadczyła niezbicie, że Darryl Newmar absolutnie nie żartuje.

Katie wcale nie zamierzała udawać, że niewzruszona jest jak głaz. Już sam fakt przekazania hiobowej wieści zaledwie trzy dni przed planowaną ekspedycją w teren mógł człowieka doprowadzić do pasji.

- Nie rozumiem, Darryl. Ten wyjazd zaplanowaliśmy pięć miesięcy temu, a ty dopiero dzisiaj postanowiłeś mnie o tym powiadomić! -

Roztrzęsione ręce Katie nagle zaczęły przekładać starannie ułożone stosy papierów na biurku. Musiała to zrobić, jako że ręce owe zbyt wielką miały ochotę zacisnąć się wokół szyi tego... tego... - Kiedy podjąłeś decyzję?

Darryl spuścił głowę, okazując nagle wielkie zainteresowanie swoim wyblakłym T-shirtem. Nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. To jasne.

- Wczoraj wieczorem. Ale przedtem zastanawiałem się kilka dni.

Zostawiła papiery w spokoju. Ręce zajęła inaczej. Zacisnęła pięści i przykleiła do bioder.

- A czy mogę wiedzieć, skąd u ciebie raptem taki pomysł i dlaczego tak długo zwlekałeś z przekazaniem mi tej informacji?!

- Chciałem mieć całkowitą pewność.

W końcu podniósł głowę i łypnąwszy brązem oczu, przeczesał palcami gęste, rude włosy.

- Zrozum, Katie. Zastępcza matka w zeszłym tygodniu urodziła nam dziecko, dlatego Artie i ja musieliśmy zrewidować nasze priorytety.

Odchodzę z instytutu. Znalazłem sobie robotę w telewizji, w Kanale

Trzynastym, a Artie zatrudnił w swojej kancelarii drugiego prawnika, żeby przejął od niego część klientów.

Gniew Katie nieco ostygł. Była w stanie pojąć, że Darryl i Artie, jego życiowy partner, chcą poświęcać jak najwięcej czasu swojej nowo narodzonej córeczce. Gdyby ona miała dziecko, zrobiłaby to samo. Ale fakt, że w ostatniej chwili traci partnera do łowienia burz, stawiał ją po prostu pod ścianą.

Przez ostatnie cztery lata ona i Darryl łowili burze w Kansas, Oklahomie i Texas Panhandle (Texas Panhandle - północny kraniec stanu Teksas, wrzynający się w sąsiedni stan, Oklahomę.), gromadząc ważne dane, które, jak mieli nadzieję, pewnego dnia doprowadzą do tego, że będzie można przewidywać niszczycielskie żywioły, przemieszczające się każdej wiosny Aleją Tornad (Aleja Tornad (ang.: Tornado Alley) - Dakota Południowa, Nebraska, Missouri, Kansas, Oklahoma, północny Teksas.). Niestety dla szefa Instytutu Klimatologii i Analiz Pogody łowca burz, który samotnie wyjeżdża w teren, stanowił wielki problem. Zwłaszcza jeśli tym łowcą burz była kobieta. Katie opadła na krzesło za biurkiem.

- Mówiłeś już o tym Hennessy'emu?

- Nie. Chciałem, żebyś ty dowiedziała się pierwsza.

Westchnęła ciężko.

- Wolałabym przede wszystkim dowiedzieć się o tym nieco wcześniej.

Przez kilka kłopotliwych chwil milczeli, wreszcie odezwał się Darryl:

- Najlepiej by było, gdybyś jeszcze dziś znalazła sobie nowego partnera, a ja jutro z rana pójdę do szefa z wymówieniem.

Katie jeszcze mocniej zacisnęła pięści. Tylko nie to! Niestety, kłamka już zapadła... Wiedziała, dlaczego Darryl swoją rewelacją nie podzielił się wcześniej. Po prostu bał się jej reakcji, doskonale zdając sobie sprawę, że tą decyzją może w ogóle pozbawić ją możliwości łowienia burz w tym sezonie.

Oboje wiedzieli, że szanse znalezienia nowego partnera są prawie zerowe, tak samo jak to, że szef zaakceptuje jej wybór, dokonany tak pośpiesznie, po prostu w trybie alarmowym. W kwestii wysyłania kobiet w teren Fergus Hennessy był zdecydowanie przedstawicielem starej szkoły, i to począwszy od czubka łysej głowy, a na podniszczonych mokasynach skończywszy. Po prostu nie wierzył, że płeć piękna może być w ogóle zainteresowana przemieszczaniem się

przez kraj w poszukiwaniu burzy. Ponadto jego niechęć do jakichkolwiek zmian była wręcz legendarna. Wszelkie związane z tym decyzje stary Gus podejmował w tempie o wiele wolniejszym niż tempo ślimacze.

- A może masz kogoś na oku, kogoś z instytutu? - spytała Katie z nadzieją w głosie.

Kiedy Darryl potrząsnął przecząco głową, poczuła, jak jej żołądek ściska się w mały, twardy, bolesny kamień.

- Wszyscy są już do kogoś przydzieleni.

- Finney też? - Słyszałam, jak mówił, że jego partner jeszcze nie doszedł do siebie po operacji kolana.

- Będzie pracował w parze z Warrenem. Katie... - Darryl wyglądał jak kupka nieszczęścia. - Bardzo mi przykro, naprawdę. Wiem, jak dla ciebie jest ważne kontynuowanie badań Marka.

Mark... Katie ogarnął głęboki smutek. Mark Livingston, jej narzeczony. Nie powinien był tak wcześnie umierać. Był wspaniałym młodym meteorologiem, stworzonym do odkrywania sekretów rozniewanej matki natury w celu spożytkowania tej wiedzy do ratowania ludzkiego życia. Jednak jego młode życie zostało przerwane w chwili, gdy próbował znaleźć sposób, jak ocalić innych. Ironia losu. I wielka niesprawiedliwość.

Oddechnęła głęboko.

- Tak, to dla mnie bardzo ważne, Darryl. Dlatego w tym roku też wyruszę w teren, z partnerem albo i bez.

- Dobrze wiesz, że Hennessy ci na to nie pozwoli. On nigdy nie puszcza nikogo samego.

- Oczywiście, że wiem. Od śmierci Marka...

- Spojrzała na zdjęcie ustawione na szarym regale wypełnionym skoroszytami. Fotografia przedstawiała ją i młodego mężczyznę, którego kochała całym sercem. - Ale ja i tak pojedę, nawet sama.

Zrobię to właśnie dla niego, dla Marka. Żeby udowodnić, że nie umarł na próżno. Mark całe swoje życie zawodowe poświęcił na szukanie sposobu wczesnego ostrzegania ludzi przed nadciągającym żywiołem. Mam zamiar dokończyć to, co zaczął. Znaleźć bardziej dokładny sposób przewidywania burz, które według wszelkiego prawdopodobieństwa przekształcą się w tornado. Będę to robiła, choćbym sama miała zginąć.

Darryl błyskawicznie dopadł do niej, pochwycił mocno za ramiona i spojrzał jej w twarz.

- Katie! Obiecuj mi, że sama nie wyruszysz!
- Gdy uparcie milczała, potrząsnął nią mocno.
- Do cholery, Katie! Daj mi słowo, że nie wyruszysz w teren, jeśli nie znajdziesz kogoś o odpowiednich kwalifikacjach! - Nadal milczała.
- Katie! Mark też był mi bardzo bliski, jak brat. Bardzo mi go brakuje. Ale nie wolno nam narażać swego życia, żeby dokończyć to, co on zaczął. Oboje dobrze wiemy, że nigdy by się na to nie zgodził.
- Ale...
- Katie, kochanie, minęły cztery lata. Czas, żebyś pozwoliła mi odejść na zawsze i zaczęła żyć swoim życiem. Proszę, obiecuj mi, że nie pojedziesz w teren sama.

Przez kilka pełnych napięcia sekund Katie wpatrywała się w pochyloną nad sobą twarz Darryla. Martwił się o nią szczerze, to było jasne, tak samo jak to, że ona zrezygnowała ze swoich badań i poświęciła się całkowicie kontynuowaniu dzieła zmarłego narzeczonego. Jednak musiała to zrobić, dawało jej to poczucie, że Mark tak naprawdę nie odszedł. Teraz, po tych czterech latach, nie wyobrażała sobie, że mogłaby robić coś innego. Że mogłaby zacząć żyć wyłącznie swoim życiem.

Podniosła dwa złączone palce na znak, że składa szczerą obietnicę.

- Przysięgam ci, Darryl, że nie zrobię niczego głupiego.

Nadciąga burza, chociaż niebo było czyste, bez żadnej chmurki. Nic nie wskazywało, że pogoda ma się zmienić, ale Josh czuł, że tak się stanie. Był tego pewien tak samo jak tego, że nazywa się Josh Garrett. Było za gorąco jak na połowę maja tu, na północy Teksasu. I ta cisza. Martwa, obojętna.

Stał na frontowej werandzie i podwijając rękawy koszuli, wpatrywał się w horyzont na południowym zachodzie. Coś wisiało w powietrzu, coś ciężkiego, złowieszczonego. Tylko idiota by to zignorował. Idiota, jakim okazał się przed sześciu laty, tamtego dnia, kiedy na ziemi rozpętało się prawdziwe piekło.

Nagle w oddali, gdzieś wśród zieleni łąk rancza Broken Bow, pojawiła się smużka dymu. Josh obciągnął szerokie rondo kowbojskiego kapelusza od Resistola, żeby osłonić oczy przed słońcem. Teraz widział dobrze. Jakiś duży samochód, chyba SUV,

jechał po nierównej drodze prowadzącej do bramy na ranczo. Ten samochód, o ile Josha przecucie nie myliło, wiozł łowców burz z Instytutu Klimatologii i Analiz Pogody.

Zawsze dwóch. Przez ostatnich kilka lat zjawiali się tu każdej wiosny, zwykle jako forpoczta groźnej burzy, i pytali uprzejmie, czy mogą skorzystać z prywatnych dróg, żeby podążać przez prerię za gwałtownymi zmianami pogody. I każdej wiosny Josh bardzo chętnie udostępniał im każdy centymetr kwadratowy Broken Bow w nadziei, że pewnego dnia młodzi naukowcy w radykalny sposób udoskonalą systemy ostrzegawcze.

Kiedy dżip zatrzymał się przed domem, Josh odczekał sekundę, aż opadnie tuman kurzu wzniesiony przez auto, i zszedł po schodkach, żeby powitać parę naukowców, jednak, ku jego zaskoczeniu, z wozu wysiadła tylko jedna osoba. I to kobieta. Bardzo dziwne.

Dodatkowo, kiedy tylko wysiadła z wozu, obdarzyła go na powitanie takim uśmiechem, że go po prostu przytknęło.

- Dzień dobry, panie Garrett.

Milczał jak jakiś głupek. Do cholery, czyżby tak zdziaczał bez damskiego towarzystwa, że nie potrafi teraz wydukać prostego „dzień dobry”?

- Dzień dobry - wydukał jednak. - A gdzie jest pani... pomocnik? - Za Boga nie mógł sobie przypomnieć, jak nazywa się jej partner.

- W tym roku postanowił zostać w domu. Josh sposepniał.

- Ale rozumiem, że ktoś do pani dołączy?

- Nie. W tym roku pojeżdżę sobie sama. - Nie zabrzmiało to najpewniej. - Mam nadzieję, że pan domyśla się, dlaczego tu jestem.

- Oczywiście. Przecież czuję, że matka natura znów się szykuje do wielkiego skoku.

- Niestety, na to wygląda. - Zadarła głowę i zapatrzyła się w niebo po stronie południowo-wschodniej. Jednocześnie wsunęła ręce do kieszeni znoszonych dżinsów. Josh odruchowo spojrzał na te dżinsy, dokładniej na to, co je wypełniało. Bardzo zgrabny tyłeczek. - Z zachodu nadciąga układ niskiego ciśnienia, a prąd strumieniowy nad zatoką wypycha w górę masy wilgotnego powietrza. Kiedy to wszystko spotka się ze sobą, pogoda nie będzie, delikatnie mówiąc, najlepsza. Prawdopodobnie trzeba liczyć się z kilkoma tornadami. - Odwróciła się i spojrzała na niego niemal przepraszająco. - O ile prąd

strumieniowy nie zmieni kierunku, lecz o tej porze roku zakrawałoby to na cud. Obawiam się, że ta okolica znajdzie się na linii ognia. Josh przestał studiować dzinsy i skupił się na wypowiedzi ich właścicielki. Nie był zaskoczony tymi rewelacjami, nie był też, naturalnie, zadowolony z powodu tego, co usłyszał. Już sam fakt, że kataklizm zagrażał Broken Bow, był wystarczająco niepomyślny. Do tego natychmiast odżyło w nim wspomnienie tamtej wiosny, kiedy stracił wszystko, co jego życiu nadawało sens.

Także fakt, że piękna pani meteorolog będzie samotnie uganiać się za trąbą powietrzną po jego ranczu, zdecydowanie nie przypadł mu do gustu. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, że ten drugi, ten... jak mu tam było... och, nieważne, w każdym razie że ten dupek został w domu, w Albuquerque, a jego piękna przyjaciółka ma uganiać się solo za tornadem po całym Texas Panhandle.

Coś jeszcze go zastanawiało. Dlaczego doskonale pamięta imię i nazwisko pani meteorolog, a za Boga nie może sobie przypomnieć, jak nazywał się jej partner? Ten kretyn, który wysłał dziewczynę w teren, żeby w najbardziej niebezpieczną pogodę polatała sobie sama po hektarach Josha Garretta...

Strasznie go to wkurzało. Z drugiej jednak strony nie miał prawa nikogo za nic potępiać. Sam przecież kiedyś zawiódł. Zawiódł kobietę. Swoją kobietę.

Kiedy gorączkowo szukał w głowie argumentów, które pomogłyby odwieść Katie od zamiaru prowadzenia badań w pojedynkę, na werandzie pojawił się jeszcze ktoś. Stary Earl Crawshaw, najęty przez Josha do gotowania, czyli coś w rodzaju gosposi rodzaju męskiego. Stary zgred rozplątywał się teraz w bezzębny uśmiech.

- Długo tak tu będziesz stał, Josh, i robił do niej słodkie oczy jak zakochany kundel? Chyba wypadaloby zaprosić damę do stołu!

Przepraszam panią, ale Joshua to prawdziwy dzikus, w ogóle nie umie się zachować. Ja to zupełnie co innego.

Joshua... Skrzywił się w duchu. Tak nazywała go tylko matka. Earl sam przyznał sobie do tego prawo. Jedynym powodem, dlaczego Josh jeszcze nie zwolnił tego starego piernika, był szacunek dla jego wieku. W końcu, było nie było, siedemdziesiąt kilka lat na karku to nie byle co.

- Pani Davidson...

- Proszę nazywać mnie Katie.

Jej prześliczny uśmiech zdecydowanie wywierał na niego zgubny wpływ. Odbierał głos. Teraz też musiał odchrząknąć, i to dwukrotnie.

- Dziękuję. W takim razie ja jestem Josh. Katie, pozwól, że ci przedstawię Earla Crawshawa, najbardziej prymitywnego starego durnia po tej stronie Missisipi.

- Miło mi pana poznać, panie Crawshaw.

- Posłała staremu taki uśmiech, który na pewno na chwilę wstrzymał akcję jego serca. - Bardzo dziękuję za zaproszenie na lunch, ale proszę sobie nie zawracać mną głowy. Mam chipsy i jakiś napój.

Uśmiech Earla znikł, prawdopodobnie staruszek szykował się do wykładu na temat odżywiania się przez młodsze pokolenie. Josh, pragnąc zaoszczędzić Katie gderania starego nudziarza, położył rękę na jej plecach i popchnął ją lekko w stronę schodków. To dość obcesowe zachowanie wzbudziło w niej lekki niepokój.

- Przepraszam, co ty...

- Lepiej nie dopuszczać Earla do głosu. Potrafi zanudzić na śmierć. Bardzo proszę do środka.

- Kiedy weszli po schodach, dokończył prawie szeptem: - Radzę przełknąć choć parę kęsów, to zaoszczędzi nam obojgu wielu kłopotów.

- Rozumiem - powiedziała równie cichutko.

- Wróg chipsów i napoi.

- Zgadza się.

Otworzył frontowe drzwi i szerokim gestem zaprosił Katie do środka.

Weszła pierwsza, on za nią, wpatrzony w rytmiczne kołysanie się szczupłych damskich bioder we wspomnianych już džinsach.

Skonsumował wzrokiem również nogawki, opinające długie smukłe nogi. Między džinsami a bluzką widać było pasek kremowej skóry, a między tym paskiem i paskiem džinsów widać było coś czerwonego.

Josh przełknął nerwowo. Do cholery! Kawalek damskiej skóry i kawałek czerwonych majtek, a on już czuje się tak, jakby z domu coś wyszło całe powietrze!

Poza tym po śmierci żony wcale nie żył jak mnich. To prawda, ale...

Kiedy po raz ostatni spał z kobietą? Pół roku temu? Może rok? Nie pamiętał. Nic dziwnego więc, że teraz gapił się na Katie, jakby miał ją zaraz zeżreć. Gość po trzydziestce - dokładnie lat trzydzieści cztery

- ma w końcu swoje potrzeby. A on wyraźnie je zaniedbał.

Weszli do kuchni. Josh, przypominając sobie nagle o dobrym wychowaniu, elegancko podsunął Katie krzesło, potem sam zasiadł przy stole naprzeciwko niej. Kiedy patrzył, jak Katie sięga po szklankę z mrożoną herbatą, po raz drugi zastanawiał się w duchu, dlaczego tamten gość - nieważne, jak mu dali na chrzcie - wolał zostać w domu, kiedy jego dziewczyna - bardziej niż niczego sobie - ma zamiar stanąć na drodze najbardziej niebezpiecznego żywiołu.

- Jedzcie. - Earl przerwał Joshowi chwilę zadumy i postawił na stole wyładowane po brzegi talerze. Stek w panierce i sosie red-eye, frytki i bułeczki drożdżowe. - Jak zjecie, nie ma problemu z dokładką.

Wszystkiego jest bardzo dużo.

Kiedy Earl odpłynął, żeby wyjąć ciasto z piekarnika, Josh zapytał:

- Jak myślisz, kiedy zjawi się ta burza?

- Najprawdopodobniej dziś wieczorem albo jutro wczesnym rankiem.

- Wypiła łyk mrożonej herbaty, odstawiła szklankę, potrząsnęła głową.

- Obawiam się, że na tym się nie skończy. Za tym frontem burzowym idzie następny, a za nim jeszcze jeden.

Josh powoli odkroił kawałek steku i włożył go sobie do ust. Mięso jakoś dziwnie nie miało smaku, równie dobrze mógłby przeżuwać swój własny but.

- Innymi słowy, to wszystko będzie się ciągnąć co najmniej z tydzień.

- Na to wygląda. - Katie dziobała widelcem frytki. - Od dłuższego czasu nie spotkałam się z taką ilością postępujących po sobie frontów atmosferycznych.

Im dłużej Josh słuchał Katie, tym mniej podobało mu się to, co miała mu do przekazania. Za bardzo to wszystko pasowało do tego, co zdarzyło się tamtego roku, kiedy zginęła jego żona.

Zupełnie odechciało mu się jeść. Odłożył widelec, odsunął się z krzesłem od stołu.

- I ty, mimo wszystko, masz zamiar prowadzić te swoje badania?

- Oczywiście.

- Sama?

- Darryl zrezygnował kilka dni przed planowanym wyjazdem w teren.

Było za późno na znalezienie nowego partnera. - Uśmiechnęła się do Josha. Ten jej uśmiech jakoś tak dziwnie przemknął przez całe jego ciało, od czubka głowy po obcasy butów rozmiar czterdzieści cztery. - Przez ostatnie lata to Darryl zawsze uzgadniał z tobą przejazd po

twoich drogach. Mam nadzieję, że choć go zabrakło, pozwolisz mi pojeździć po swoim ranczo.

Poczuł się tak, jakby znalazł się między przysłowiowym młotem a kowadłem. Rozsądek mówił jedno. Łowienie burz dla samotnej kobiety jest stanowczo zbyt niebezpiecznym zajęciem. Powinien teraz po prostu odmówić i poradzić jej, by jak najprędzej wracała do Albuquerque. Z drugiej jednak strony instynkt podpowiadał mu, że Katie, mimo jego odmowy, z niczego nie zrezygnuje. Po prostu pojedzie drogami publicznymi albo przekabaci jakiegoś innego, mniej przewidującego ranczera. Tak czy siak, na pewno będzie podczas tego piekła sama.

Głęboko odetchnął, podejmując w tym czasie pewną decyzję.

Wiedział, że nie spodoba się Katie. Do końca nie był też pewien, czy ta decyzja podoba się jemu samemu. Ale innego wyjścia nie było.

Wiedział, że to jedyny sposób, żeby Katie Davidson nie polowała na te swoje burze samotnie.

- Pozwalam ci jeździć po moich drogach...

- Dziękuję.

- ...pod jednym warunkiem.

Katie, nadal radosna i pogodna, ukroiła sobie kawałek mięsa.

- A jakim? - spytała.

- Pojadę z tobą jako twój partner.

ROZDZIAŁ DRUGI

Widelec z kawałeczkiem mięsa znieruchomiał w połowie drogi do ust. Katie zmroziło. Nie wierzyła własnym uszom. Ten ranczer - notabene wyglądający jak uosobienie męskiego seksu - zamierza jechać razem z nią. Jeśli nie pojedzie, nie użyczy jej swoich dróg.

- Przepraszam, czy dobrze usłyszałam?

- Pozwolę ci korzystać z moich dróg, jeśli pojedę z tobą jako twój partner - powtórzył bardzo spokojnym głosem.

Natychmiast zapomniała o jedzeniu, choć było znakomite. Powoli opuściła rękę, oparła widelec o talerz i spojrzała Joshowi Garrettowi w twarz, w tym momencie pełną determinacji. Zawsze zachęcała Darryla, żeby to on z nim pertraktował, i to z kilku powodów. Darryl był człowiekiem bardzo bezpośrednim, umiał rozmawiać z ludźmi i ich przekonać. Po instytucie krążył żart, że potrafiłby uciąć sobie pogawędkę nawet z marmurową rzeźbą i zmusić ją do odpowiedzi. Tak naprawdę jednak prośba Katie wcale nie wynikała z nadzwyczajnych perswazyjnych zdolności Darryla. Raczej chodziło jej o komfort psychiczny. Nie chciała rozmawiać z Joshem, który w jej odczuciu posiadał aż nadmiar męskości, z tego też powodu w jego towarzystwie wcale nie czuła się swobodnie.

Kiedy dowiedziała się, że Darryl w tym sezonie nie będzie jej towarzyszył, zastanawiała się, czy nie ograniczyć się wyłącznie do dróg publicznych, dzięki czemu uniknęłaby kontaktu z właścicielem rancza Broken Bow. Niestety ranczo Josha, położone na styku trzech hrabstw, zajmowało ogromny teren i omijanie jego dróg stanowiących dogodne skróty byłoby dużym utrudnieniem.

- Czy mógłby mi pan zdradzić, co jest powodem pańskiej decyzji, panie Garrett?

- Josh. Na imię mam Josh.

- W porządku. Josh. - Kiedy zwracała się do niego po imieniu, czuła na plecach lekki dreszczyk. Naturalnie starała się to zignorować, teraz przecież coś innego było najistotniejsze. Josh dotychczas zawsze bez żadnego problemu pozwalał na prowadzenie badań na terenie swojego rancza. Bez problemu, kiedy Katie prowadziła je jako członek dwuosobowego zespołu z instytutu. - Czy mógłbyś mi zdradzić, dlaczego chcesz mi towarzyszyć?

Kiedy skierował na nią swój piwny wzrok, znów poczuła ten dreszczyk, teraz zwielokrotniony, przez co z niejaką trudnością zdołała skupić się nad wypowiedzią Josha.

- Nie mogę puścić cię samej. Sumienie mi nie pozwala.

Spochmurniała, starając się stłumić w sobie irytację. Ta sama melodia, choć wykonawca inny. Tym razem nie Darryl, najpierw sam, potem w duecie z szefem, tylko Josh Garrett próbował odwieść ją od zrealizowania planu.

Dlaczego mężczyźni, niezależnie od sytuacji, zawsze myślą, że kobieta bez nich nigdy nie będzie czuć się bezpieczna?

Zacisnęła zęby, jednocześnie zmuszając usta, by rozciągnęły się w uśmiechu.

- Pozwól sobie pewne rzeczy wyjaśnić, Josh. Sama doskonale dam sobie radę. Jestem doświadczonym łowcą burz. Robię to od czterech lat i jestem człowiekiem rozsądnym. Nigdy niepotrzebnie nie ryzykuję.

Jego uśmiech był tylko i wyłącznie pełen determinacji.

- Nie przeczę, ale na pewno przyda ci się jeszcze jedna para oczu do obserwowania zmiany kierunku wiatru. Także dodatkowa para rąk, takich trochę silniejszych, do wyładowywania i ładowania sprzętu.

- Joshua ma rację, dziewczyno - wtrącił stary Earl, stawiając przed nią paterę z pokrajanym ciastem z brzoskwiniami.

Ciasto wyglądało bardzo apetycznie, ale Katie nawet nie zerknęła w jego stronę, kontynuowała bowiem wpatrywanie się w Josha. Fakt, że łatwiej łowić burzę we dwoje, był bezdyskusyjny. Dlaczego jednak jedynym kandydatem na jej partnera w tym zakresie, czyli łowieniu burz, okazał się seksowny aż do bólu ranczer z Teksasu?

Wysoki był chyba na dwa metry, ramiona miał nieprawdopodobnie szerokie, biodra wąziutkie. Włosy gęste, brązowe, oczy piwne. Był rewelacyjny, a do tego gotowa była przysiąc, że nie miał najmniejszego pojęcia, jak działa na kobiety.

Serce Katie nagle przyśpieszyło. Od śmierci Marka nie poświęcała zbyt wielkiej uwagi męskim wdziękom. Właściwie prawie wcale. Łatwiej było poświęcić się całkowicie pracy i pielęgnować pamięć o człowieku, którego kochała, niż pakować się w jakiś związek. Teraz jednak, kiedy patrzyła na Josha, po raz pierwszy od długich czterech lat wyraziście uzmysłowiła sobie, że nie tylko dostrzega w tym człowieku atrybuty męskości, ale i ocenia je nadzwyczaj pozytywnie.

W tej nowej dla siebie sytuacji wcale nie czuła się komfortowo, dlatego tym bardziej zapragnęła wyperswadować mu to, co sobie umyślił.

- Taki wyjazd łączyłby się z dłuższą nieobecnością na ranczo. Kto wie, czy nie trzeba będzie zahaczyć o Oklahomę.

- Nie szkodzi. Zatrudniam ludzi, którzy doglądają bydła.

- Łowienie burz to, poza krótkimi przerwami, zajęcie piekielnie nudne.

- Nie szkodzi.

Jego pewny siebie uśmiech odniósł jednak pewien skutek, mianowicie puls Katie zdecydowanie przyśpieszał. Było jasne, że ten facet zawsze zrobi to, co sobie zaplanuje. Na przykład... Och, skąd u niej takie idiotyczne myśli?! Nie tylko myśli, ale i to stado mrówek rozłazących się po jej ciele...

- Jesteś całkowicie pewien, że tego chcesz?

- Jasne. - Uśmiechnął się.

Och, dlaczego on tak się uśmiecha?! - myślała w popłochu.

Zażenowana swoją reakcją, a także całkowicie świadoma, że dalsza dyskusja jest bezcelowa, po prostu skinęła głową i wstała. Czuła ogromną potrzebę oddalenia się od tego mężczyzny, by znów spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy, w tym również pogodzić się z faktem, że wkrótce mnóstwo czasu spędzać będzie w ograniczonej przestrzeni dżipa w towarzystwie jednego z najbardziej seksownych facetów, jakich знаła.

- W porządku, Josh. Zabieram cię ze sobą. Tylko potem nie miej do mnie pretensji, jeśli zanudzisz się na śmierć. Panie Crawshaw... - Odwróciła się do wiekowego gosposia i uśmiechnęła ciepło. - Dziękuję za lunch. Dawno nie jadłam czegoś tak dobrego.

- To dlaczego już idziesz? - spytał Earl. - Ciasta nawet nie tknęłaś!

- Bo nie jestem w stanie już nic więcej przełknąć - skłamała, kierując się do drzwi. Widząc jednak rozczarowanie w oczach Earla, dodała szybko: - A czy to ciasto nie mogłoby na mnie poczekać? Jutro, kiedy wrócę po południu, będę głodna jak wilk.

Pomarszczona twarz pojaśniała w bezzębnym uśmiechu.

- Oczywiście, że poczeka, dziewczyno!

- Dokąd teraz jedziesz? - spytał Josh, podążając za nią przez hol.

- Muszę znaleźć jakiś motel, potem sprawdzić ostatnie komunikaty o pogodzie. Muszę też rzucić okiem na obraz radaru dopplerowskiego, żeby zobaczyć, jak przesuwają się fronty atmosferyczne.

Wyszli na werandę. Josh zdjął z kołka kowbojski kapelusz i nasadził go na głowę.

- Nie ma sensu, żebyś szukała pokoju w motelu - powiedział. - Możesz nocować tutaj. Mam wolny pokój na piętrze, z łazienką. Katie próbowała jakoś zebrać rozproszone myśli. A rozpraszały się okropnie, kiedy Josh Garrett stał przy niej tak blisko.

- Bardzo miło z twojej strony, nie chciałabym jednak sprawiać kłopotu. Muszę podłączyć laptopa, a to oznacza, że twój telefon przez kilka godzin byłby zablokowany, kiedy będę się łączyć z moim instytutem albo z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej. Sam więc widzisz...

- Nie ma problemu. Popatrz tam. - Wskazał talerz satelitarny zamontowany na dachu domu. - Mam najszybszy internet i nowiutki komputer. Swojego laptopa możesz w ogóle nie wyjmować z samochodu. Poza tym najbliższy motel jest w Pampa, ponad dwadzieścia kilometrów stąd. A jak nadejdzie burza, łatwiej ci będzie ruszać w pogoń z Broken Bow, niż najpierw tu dojeżdżać z motelu. Wszystko to brzmiało bardzo sensownie. Oznaczało dużą oszczędność czasu i wszelkie inne wygody, w tym pyszną kuchnię Earla. Jednak Katie wcale nie była pewna, czy przyjęcie zaproszenia wyjdzie jej na dobre.

Przebywali ze sobą od niecałej godziny, podczas której ona zdążyła już uświadomić sobie, że jest nie tylko naukowcem skupionym na łowieniu burz i mapach pogodowych. Jest także kobietą, żywą kobietą, która od bardzo dawna nie czuła dotyku męskiej dłoni, a w obecności tego mężczyzny jej cała kobiecość, przez tyle lat pozostająca w stanie śpiączki, błagała, żeby zrobić z niej użytek.

Zanim jednak zdążyła grzecznie podziękować, nie wyjaśniając oczywiście, że robi to po to, by zachować spokój ducha, Josh dodał z uśmiechem:

- Poza tym, czekając tu na front atmosferyczny, będziesz mogła zrobić mi szybkie szkolenie. Opowiesz mi, co będę robił, kiedy razem wyruszymy na polowanie.

Przede wszystkim najlepiej, żebyś mnie obejmował, tak jak nikt inny tego nie robił od czterech lat!

Jej serce na chwilę się zatrzymało. Miała też trudności z nabraniem powietrza. O matko... Co właściwie się z nią dzieje?!

Całkowicie wytrącona z równowagi, bez słowa protestu dała się poprowadzić po schodkach w dół i do swojego dżipa.

- Powiedz, co zostaje w samochodzie, a co bierzemy do domu - powiedział Josh, a jej, kiedy słyszała tak przyziemne słowa, po prostu chciało się krzyknąć.

- Ja... ja... - Dlaczego wciąż nie może zebrać myśli?!

Jej zmysły pracowały na najwyższych obrotach, co bardzo źle wpływało na zdolność do oddychania.

- Dobrze się czujesz? - spytał Josh, spoglądając na nią jakby uważniej.

Nie!

- Świetnie. Nie ma powodu, żebym miała się czuć inaczej.

Przyglądał się jej jeszcze przez moment, po czym na jego twarz powoli zaczął wpełzać leniwy uśmiech.

- Nie, no oczywiście, niby dlaczego. Nie ma przecież żadnego powodu.

Godzinę później, kiedy wpatrywał się w kolorowe plamy na ekranie monitora, jego twarz była bardzo poważna.

- I to wszystko idzie na nas?

- Niestety tak. - Katie nacisnęła klawisz, przełączając się z radaru Dopplera na satelitę, żeby zobaczyć, jak wygląda pułap chmur. - Wygląda na to, że pierwszy front wytworzy kilka burz, bardziej mnie jednak martwi następny front, który nadciąga za nim. Wszystko przemawia za tym, że przekształca się w coś o wiele groźniejszego. Josh spochmurniał. Podsunął sobie krzesło i usiadł obok Katie, żeby lepiej widzieć monitor. Nie trzeba było być meteorologiem, by zorientować się, że chodzi o naprawdę złą pogodę.

- Ile czasu minie, zanim po tych pierwszych burzach nadciągnie ten groźniejszy front?

- Trudno powiedzieć... - Katie znów nacisnęła klawisz i na monitorze pojawiły się różne grupy liczb. - Potrafię przewidzieć dzień nadejścia burzy. Darryl umiał określić termin z dokładnością do kilku godzin.

- Darryl, aha... - Czyli tak się nazywa ten egoistyczny palant. - Katie, to nie moja sprawa, oczywiście, ale czy możesz mi powiedzieć, dlaczego twój parter w tym roku nie wyjechał w teren? Przypuszczam, że

w taką pogodę, na jaką się zanosi, rasowi łowcy burz raczej nie siedzą w domu.

- Oczywiście, że nie, ale po narodzinach córki priorytety Darryla uległy zmianie. Chce być w domu co noc, dlatego zrezygnował z posady w instytucie i przyjął posadę synoptyka w jednej ze stacji telewizyjnych w Albuquerque.

Josh nie wierzył własnym uszom.

- Czyli ty, zamiast siedzieć w domu przy malutkim dziecku, wolisz uganiać się za burzą?

Katie spojrzała na niego, jakby oszalał, potem wybuchnęła śmiechem. Śmiała się tak, że aż łzy jej pociekły z oczu.

- Myślałeś, że Darryl i ja jesteśmy parą?

- Sądząc po twojej reakcji, już wiem, że tak nie jest.

Był pewien, że między nią a tym jej gogusiowatym współpracownikiem coś jest. Pomijając wszystko, facet zawsze zwracał się do niej „kochanie” czy coś w tym stylu, i nader chętnie obejmował ją ramieniem, a to każdego mogło zmylić. Josha też zmyliło i trzeba przyznać, że to, co teraz czuł, trudno było nazwać gorzkim rozczarowaniem, sądząc po błysku w oku.

- Nigdy nic nas nie łączyło oprócz pracy.

- Katie otarła chichotliwą łezkę. - Darryl jest gejem, żyje w stałym związku. Artiego poznał jeszcze w college'u.

- Czyli byłem bardzo daleki od prawdy.

- Co najmniej o kilometr.

- Aha... - mruknął i zanim zdążył się powstrzymać, zadał kolejne pytanie: - A co z tobą¹? - Czy w Albuquerque ktoś czeka na twój powrót?

Pogodny uśmiech znikł z twarzy Katie, a kiedy spojrzała na niego tymi swoimi niebiańsko błękitnymi oczami, miał ochotę siebie kopnąć. Widać było jak na dłoni, że wkroczył na bolesne dla niej rejony. Spodziewał się, że Katie ostro go ofuknie za nadmierną ciekawość, ale tylko potrząsnęła głową i powiedziała cicho:

- Nie. Teraz już nie.

Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie powinien ciągnąć tego tematu, ale nie potrafił tego zrobić, bowiem smutek, jaki dojrzał w oczach Katie, był dla niego bardzo łatwy do rozszyfrowania.

Bez wahania objął ją ramieniem.

- Kiedy go straciłaś? Odpowiedziała dopiero po dłuższej chwili:

- W zeszłym miesiącu minęły cztery lata. Mark pracował w naszym instytucie. Był łowcą burz, gromadził dane i przekazywał do laboratorium. Czyli mnie. Ja robiłam analizy. Mark pracował razem z Darrylem, ale tamtego dnia Darryl musiał zostać w laboratorium, miał coś pilnego do zrobienia. Więc Mark pojechał sam. I już nie wrócił. Nie wiadomo, co tak naprawdę się stało. Nadeszło tornado, ale to było tylko F1 (Według sześciostopniowej skali Fujity, oceniającej poziom intensywności tornad), a Mark miał ogromne doświadczenie. Może nie przewidział, że znajdzie się tak blisko albo coś go uderzyło... Nigdy już się tego nie dowiem. Pęknięte kręgi szyjne...

- Bardzo ci współczuję, Katie.

Przytulił ją do siebie. Jego intencje były jak najbardziej niewinne. Chciał pocieszyć, to zrozumiałe, kiedy jednak poczuł przy sobie miękkie kobiece ciało i łagodny, świeży zapach, krew w jego żyłach zaczęła krążyć szybciej, dochodząc do szybkości wręcz alarmującej. Musiała wyczuć te zakłócenia w jego organizmie, bo podniosła głowę i spojrzała na niego pytająco.

- Josh?

Delikatnie zaczesał za ucho jedwabiste brązowe pasemko, które wymknęło się z końskiego ogona, i pogłaskał porcelanowy policzek.

- Chcę cię pocałować, Katie.

W szeroko otwartych niebieskich oczach rozbłysło, jakby Katie miała na to samo ochotę. Jej wzrok przesunął się w dół, ku jego ustom. Czubek języka bezwiednie przemknął po perfekcyjnie koralowych wargach.

- Pocałować? To chyba nie jest dobry pomysł.

- Może i nie.

- Ale gdyby był... może by mi się spodobało. To wyznanie Josh w swym mądrym umyśle uznał za przyzwolenie. Bez wysiłku podniósł ją z krzesła i posadził sobie na kolanach.

- Przekonajmy się.

Pochylił głowę. Robił to powoli, stopniowo, dając Katie szansę na protest, jednak, ku jego zadowoleniu, nie usłyszał go i bez przeszkód mógł dotknąć ustami jej miękkich i nadzwyczaj podatnych warg. Dlatego niezwykle trudno było utrzymać mu się w ramach, jakie sobie narzucił. Miał być to delikatny, przyjacielski pocałunek, a nie wybuch niepohamowanej żądy. Trudno jednak było powściągnąć namiętność, skoro Josh w trakcie pocałunku czuł, jak miękkie ciało Katie napiera

na niego. Małe piersi rozpląszczyły się o jego twardą pierś, jednym słowem Katie też uległa magnetycznemu przyciąganiu.

Miła chwila została przerwana w sposób brutalny. Nagle coś zapiszczało. Zrobiło to tylko raz, ale bardzo głośno i żałośnie.

- Co się dzieje?! - warknął Josh.

On był tylko zły, natomiast na Katie sygnał alarmowy, który odezwał się w jej przenośnym urządzeniu pomiarowym, podziałał jak kubeł lodowatej wody. Opamiętała się i szybko udzieliła sobie surowej lekcji. W żadnym wypadku nie może zapominać, po co przyjechała do Broken Bow. A mianowicie po to, by kontynuować badania Marka, a nie dla erotycznych igraszek z seksownym ranczerem.

Niestety, wyglądało na to, że jej kobiecość po latach uśpienia postanowiła obudzić się na dobre. Katie bardzo speszyła się takim jej zachowaniem. Szybko odpięła od paska džinsów mały aparacik i unikając pełnego ciekawości wzroku Josha, zaczęła odsłuchiwać nadany właśnie najświeższy komunikat z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej, który potwierdzał tylko to, co Katie i tak już wiedziała. Przewidywano, że w rejonie, w którym znajdowała się teraz, pojawią się burze. Kilka, w drugiej połowie dnia.

- Muszę spojrzeć na ostatnie pomiary radaru i zdjęcia satelitarne. Chciała wstać z jego kolan, ale silne, męskie dłonie nakazały jej pozostanie na miejscu.

- Katie, spójrz na mnie.

- Ale ja muszę...

Nie zdążyła przekazać, że musi sprawdzić wysokość pułapu chmur, ponieważ Josh wsunął palec pod jej brodę, zamykając jej w ten sposób usta.

- I jaki jest werdykt? - spytał. - Powiedziałaś, że gdyby pomysł z tym pocałunkiem okazał się dobry, to by ci się spodobało.

Powoli przesunął kciukiem po jej dolnej wardze. Och, jak potrzebowała czegoś takiego! Och, jak jej było dobrze!

- Podobało ci się, Katie?

Jej serce jakby przeskoczyło kilka swoich uderzeń. Postanowiła jednak powiedzieć prawdę, ot tak, dla czystego sumienia.

- Josh, podobało mi się. Nawet bardzo. Ale to nigdy więcej się nie zdarzy. - Kiedy jego ciemne brwi powędrowały w górę, dodała: - Muszę się całkowicie skupić na mojej pracy.

Uśmiechnął się. Ten uśmiech mogła określić jako zniewalający i powalający zarazem. Josh szepnął jej do ucha.

- Rozumiem, ale i tak jeszcze kiedyś cię pocałuję, kotku... A kiedy już to zrobię, całe te twoje badania spadną u ciebie na ostatnie miejsce.

Wpatrywała się intensywnie w piwne oczy Josha. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że on to zrobi. Oczywiście. I to właśnie stanowiło wielki problem. Bo jeśli w ciągu kilku godzin potrafił sprawić, że zapomniała o całym bożym świecie, to co będzie się działo w ciągu kilku następnych dni?

Rozsądek podpowiadał, że najlepszym rozwiązaniem jest natychmiastowa ucieczka dżipem do laboratorium w Instytucie Klimatologii i Analiz Pogody. Podpowiadał, ale do działania w tym kierunku nie doszło, ponieważ znów odezwał się alarm.

Katie wysłuchała komunikatu, wstała - tym razem Josh jej w tym nie przeszkodził - i usiadła przed komputerem.

- Katie, czy mogę coś zrobić? Jakoś ci pomóc?- spytał Josh, wstając z krzesła.

Nie odrywając oczu od monitora, machnęła ręką w stronę drzwi.

- Szykuj się do wyjazdu, Josh! Mamy burzę do złowienia!

ROZDZIAŁ TRZECI

Josh prowadził suwa drogą stanową 70 w stronę Pampy i co pewien czas zerkał znad kierownicy, zastanawiając się, czy Katie istotnie jest tak pochłonięta swoimi mapami, które miała rozłożone na kolanach, czy też po prostu chce uniknąć rozmowy.

Podejrzewał to drugie i domyślał się, dlaczego tak jest. Ten pocałunek wstrząsnął nią.

Szczerze mówiąc, nim też. Kiedy ją objął, miał szczyry zamiar tylko pocieszyć, dać do zrozumienia, że dobrze wie, co to ból po stracie ukochanej osoby. Nie spodziewał się, że miękkie ciało, przyciśnięte do jego ciała, i ten słodki kobiecy zapach będą aż tak bardzo pociągające. Będą miały taką moc.

W ciągu sześciu lat, jakie upłynęły od śmierci Marianne, zdarzyło mu się pocałować kilka kobiet, jednak żaden z tych pocałunków nie wzburzył jego krwi tak jak pocałunek z Katie.

- Kiedy dojedziemy do granicy hrabstwa Roberts, zatrzymaj się. Poobserwujemy tam granicę suchości - odezwała się nagle Katie, a widząc w jego oczach nieme pytanie, dodała: - To miejsce, gdzie nadciągające od wschodu masy wilgotnego powietrza znad Zatoki Meksykańskiej napotyka na suche, pustynne powietrze, nadciągające z zachodu. Wiosną, kiedy zaczyna się sezon burz, masy te przemieszczają się z północy na południe i wtedy, zwykle po stronie wschodniej, dochodzi do burz.

Josh spojrzał na widoczne w oddali białe, puszyste chmury. Kiedy podpłynęły bliżej, zauważył, że rozciągają się w kierunku pionowym. W dolnej części są zdecydowanie ciemniejsze, natomiast w górnej jaśniejsze i przybierają kształt podobny do główek kalafiora.

- Te chmury mają kształt wież.

- Tak. I to najlepsza wskazówka, że tworzy się burza... - Katie nacisnęła przycisk w kamkorderze, umocowanym na desce rozdzielczej. - Wysokość tych chmur oceniam na około dziewięć tysięcy metrów. Nadal rosną.

Ławica była coraz bliżej. Josh widział już, że nie są to spokojne obłoczki beztrąsko sunące po niebie, lecz złowieszcza, wirująca masa, skręcająca się w spiralę.

- Tornado?

- Zgadza się. - Wskazała palcem na pobocze drogi. - Możesz tam zjechać? Zrobię parę pomiarów i przyjrzymy się dokładniej, w jakim

kierunku zmierza ta ławica. Mam nadzieję, że nadal będzie się zbliżać do nas.

Josh skierował samochód na pobocze i zgasił silnik. Dokładnie w tym samym momencie odbiornik radiowy, przyczepiony do paska dżinsów Katie, zawył. Josh wcale nie był zaskoczony, że synoptycy alarmują o nadciąganiu tornada, przecież powstawało na jego oczach. I wcale nie było to sympatyczne. Czuł się jak cielak, który uciekł z pastwiska i nagle znalazło się na polu pełnym grzechotników.

Znów odżyły wspomnienia. Tamtego dnia też zapowiadano złą pogodę nad północnym Teksasem. Bardziej niż złą. Ta pogoda zabrała mu kobietę, którą kochał.

- Josh?

- Co?

- Czy z tobą wszystko w porządku? - spytała Katie, kładąc mu ciepłą, lekką dłoń na ramieniu.

- Dziękuję. Nie może być lepiej - skłamał.

- Jesteś... pewien?

- Tak... - Postanowił jak najszybciej zmienić temat. Nie miał najmniejszej ochoty opowiadać o tym, co zdarzyło się tamtego dnia i o tym, jak przyczynił się do śmierci Marianne. - Co chcesz, żebym jeszcze zrobił, oprócz prowadzenia samochodu i spoglądania na chmurki?

- Dobry jesteś w fotografowaniu?

- Jeśli mam tylko wycelować i nacisnąć spust, to wydaje mi się, że nie jestem gorszy od innych.

- Świetnie. - Wręczyła mu aparat cyfrowy z zoomem. — Żeby zrobić zbliżenie, naciśnij ten przycisk z boku. Aparat sam nastawia ostrość, musisz tylko trzymać go nieruchomo.

- Dobrze. Coś jeszcze?

- Możesz podać mi higrometr? Chcę zmierzyć wilgotność względną i punkt rosy.

Spojrzał na rząd różnych instrumentów, przyczepionych na szczycie deski rozdzielczej, i zaryzykował. Podał jej coś podobnego do walkie-talkie z cyfrowym wyświetlaczem zamiast głośnika.

- Trafiłem?

- W dziesiątkę.

Uśmiechnęła się. Ten uśmiech uruchomił w nim falę ciepła, ale nie taką słodką, liryczną, tylko ostrą, gwałtowną, żarliwą falę męskiego pożądania.

Wysiadła z auta, odeszła kawałek od wozu i podniósłszy rękę z przyrządem, znieruchomiła. Nadciągający kataklizm oddalony był o kilka kilometrów, ale Josh i tak był bardzo niezadowolony, że nie ma Katie obok siebie.

Kiedy wróciła do samochodu, odetchnął. Niestety, wcale do niego nie wsiadła. Stała w otwartych drzwiach, pochyliła się nad mapami i zaczęła na jedną z nich nanosić liczby.

- W atmosferze jest mnóstwo wilgoci - powiedziała, wręczając mu z powrotem higrometr.

Josh zaśmiał się i odłożył instrument na miejsce.

- Można to zauważyć i bez tej zabawki. Jest bardzo duszno, powietrze ciężkie, musi być w nim dużo wilgoci. To najlepsza recepta na teksańskie tornado.

- Masz rację, chociaż tę receptę można by trochę wzbogacić - rzuciła Katie oschłym tonem i wskazała palcem na małe pudełko z brązowej skóry obok higrometru. - Podaj mi, proszę, anemometr. Zmierzę prędkość wiatru i będziemy mogli jechać.

Podał jej to, o co prosiła. Katie wykonała pomiar, wróciła do samochodu i znów naskrobała na swoim wykresie kilka nowych cyfr. Potem sprawdzała obraz radaru dopplerowskiego w swoim laptopie i porównała z liczbami na wykresie.

- Co teraz?- spytał Josh.

- Teraz jedziemy w stronę tych chmur z nadzieją, że zanim zacznie się burza, uda nam się zrobić jeszcze kilka pomiarów.

Pomysł o podążaniu w tym właśnie kierunku wcale mu się nie podobał. Zdrowy rozsądek nakazywał przecieź zrobić w tył zwrot i uciekać stąd jak najszybciej. Postanowił jednak nie interweniować, nie narzucać swojego zdania. W końcu to on panuje nad sytuacją, ponieważ siedzi za kierownicą i w każdej chwili może zawrócić, nawet jeśli Katie będzie protestować. Nie miał zamiaru ryzykować.

- A niech to...

- Co się stało, Katie?

- Spójrz! Ławica zaczęła przemieszczać się na wschód.

Chmury oddalały się od nich. Ten fakt Josha absolutnie nie unieszczęśliwił, chociaż rozczarowanie Katie wcale go nie dziwiło.

Żeby zebrać potrzebne dane, musiała znaleźć się jak najbliżej żywiołu, przecież po to przybyła do Broken Bow. Chociaż z punktu widzenia Josha mogłaby znaleźć sobie jeszcze inny cel wizyty. Życzyłby sobie tego z całego serca.

Zapuścił silnik, wyjechał dżipem z powrotem na drogę i powiedział:

- Jakiś niecały kilometr stąd jest droga na wschód. Można wjechać na górski grzbiet i stamtąd obserwować burzę, kiedy będzie przechodzić nad doliną. - Obserwować z bezpiecznej odległości, dodał w duchu.
- Dziękuję, Josh. Lepsze to niż nic.

W pełni doceniała usłużność Josha, chociaż slalom między dołami po polnej drodze nieco ją przerażał.

- Chwała Bogu, że dżipem łatwo skręcać nawet przy większej prędkości. - Złapała się za deskę rozdzielczą, kiedy Josh omal nie wjechał w dziurę mogącą z łatwością pomieścić podrośniętego cielaka.

- Nie tęsknisz za przygodami, skarbie? Musiała się roześmiać. Jego pytanie było przecież absurdalne.

- Wolę bezpieczniejsze zajęcia.

- Rozumiem. A ja jestem królem Anglii.

- A dla mnie to wielki zaszczyt poznać Waszą Królewską Mość!

Nagle zamilkła, wbijając wzrok w olbrzymią zwichrzoną masę. Josh zerknął w górę znad kierownicy i cicho zaklął. Spośród kłębiących się chmur wysunęło się coś podobnego do kawałka gigantycznego sznura i zawisło nad zielonymi polami.

Szybko wjechał na szczyt wzniesienia i wyhamował.

- Widziałem już tornado w górze i na ziemi, ale nigdy nie obserwowałem, jak się tworzy.

Katie chwyciła kamerę, sprawdziła, czy jest odpowiednio nastawiona i wyskoczyła z samochodu. Robienie pomiarów nie miało teraz sensu, byli zbyt oddaleni, żeby uzyskać istotne dane, ale sam widok, jaki roztaczał się przed nimi, był po prostu bezcenny dla późniejszej analizy.

- Josh! Pstryknij kilka zdjęć! Szybko! Możesz uchwycisz coś, co mi umknie!

Niestety, nie skończyła wołać, kiedy lej nagle znikł.

- Wróci? - spytał Josh, podchodząc do Katie.

- Wróci. Popatrz tam! Widzisz, jak się porusza? Nadyma i kurczy?

- Wygląda, jakby oddychał.

- Zbiera siły przed następnym występem! - Nie zdążyła dokończyć, kiedy z samego środka potężnego kłębowiska chmur znów wysunął się biały, wąski stożek. Wysuwał się coraz bardziej, w końcu dotknął ziemi, porywając natychmiast wszystko, co się tam znajdowało. Katie odwróciła się, żeby przypomnieć Joshowi o robieniu zdjęć, lecz z jego ust wypłynęła wiązanka soczystych przekleństw.

- Josh! Co się dzieje?

- Popatrz tam!

Spojrzała i zamarła. Miasteczko. Dokładnie na drodze tornada, oddalone od niego zaledwie o kilka kilometrów.

- Jeśli ta gadzina nie skręci, uderzy na Bealville! - krzyknął przerażony. - A my nie możemy ostrzec tych ludzi.

- Możemy, Josh!

Błyskawicznie odpięła komórkę od paska i za pomocą szybkiego wybierania połączyła się z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Amarillo. Przedstawiła się, podała koordynaty wiru, nalegając, aby natychmiast ostrzeżono mieszkańców Bealville. Robienie zdjęć wyleciało jej z głowy, była zbyt przerażona. Ściskając w rękę komórkę, patrzyła bezradnie, jak tornado ze śmiertelną precyzją sunie w kierunku miasteczka.

- Skręć, do diabła! - szeptała. - Skręć! Zaczęło padać. Jose osłonił ją ramieniem

i przyciągnął do swojego boku. Prawie tego nie zauważyła. Stali nieruchomo i patrzyli, jak wirujący lej dochodzi do południowych obrzeży Bealville. Naciera na kilka budynków. Budynki znikają z powierzchni ziemi, za to wirująca chmura, pochłaniająca ludzkie siedziby wraz z ich mieszkańcami, ciemnieje i powiększa się.

Katie była zrozpaczona własną bezradnością. Mogła tylko tak stać i wyobrażać sobie, jakiego spustoszenia dokonuje teraz w miasteczku bezlitosne tornado. Jakie wzbudza przerażenie. Mogła się tylko modlić, że budynki, które uległy zniszczeniu, były puste i nikt nie stracił życia.

Na szczęście - zdarzył się cud. Złowrogi lej nagle wyhamował tuż przed środkiem miasteczka i wciągnięty został w ścianę chmur. Czyli przynajmniej część Bealville ocalała.

Czując, że słabnie z przeogromnej ulgi, wparła się całym ciałem w Josha.

- Och, Boże, Josh... Tyle lat zajmuję się łowieniem burz, ale po raz pierwszy widziałam, jak tornado uderza w ludzkie siedziby.

- Naprawdę? Trudno mi w to uwierzyć.

- Nasze badania w dużym stopniu polegają na obserwacji.

Najlepszym do tego miejscem są rozległe, puste przestrzenie, skąd można wszystko dobrze zobaczyć...

- I jednocześnie niewiele jest do zniszczenia.

- Zgadza się. Widziałam co prawda miasto, przez które przeszło tornado, ale nigdy dotąd nie byłam naocznym świadkiem uderzenia. Wolę nie myśleć, co przeżywali ci biedni ludzie. Jestem wściekła, że można ich było ostrzec dopiero w ostatniej chwili.

Josh pocałował ją w czubek głowy, wziął za rękę i poprowadził do samochodu.

- Skarbie, zrobiłaś wszystko, co można było zrobić w tej sytuacji. Zaraz tam pojedziemy, może trzeba będzie komuś pomóc. I nie martw się, Katie. Pewnego dnia znajdziesz sposób, żeby wcześniej przewidywać ataki tornada.

Miło było to usłyszeć, niestety Katie dobrze wiedziała, że choć naukowcy poczynili wielkie postępy w badaniach szaleństw matki natury, owa matka nadal w ogromnym stopniu była nieprzewidywalna.

Kiedy wkrótce wjeżdżali do Bealville, Katie odetchnęła z ulgą. Sytuacja okazała się o wiele lepsza, niż się spodziewała. Kilka zerwanych dachów, pusty wagon towarowy wypchnięty z bocznego toru, jedynie całkowitemu zniszczeniu uległ jakiś duży budynek wyglądający na dom towarowy. Ale większość miasta została oszczędzona.

Kiedy jednak podjechali bliżej do miejsca, w którym tornado znikło, Katie poczuła na plecach lodowaty dreszcz. Po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko zrównanego z ziemią domu towarowego, znajdowała się szkoła.

- Och, Josh! Co by się stało, gdyby ten przeklęty lej się nie podniósł? Te dzieci...

- Nie myśl o tym, Katie. - Gdy ujął jej dłoń, poczuła cudowne ciepło.

- Na dziś wystarczy tego łowienia burz. Wracamy do Broken Bow.

- Ale ja...

- Żadnego ale, skarbie. Wracamy - powtórzył, kierując dżipa na drogę prowadzącą na zachód. - To nie jest twoja ostatnia szansa na

przeprowadzenie badań. Sama mówiłaś, że za dzień czy dwa nadciągnie nowa burza. Do tego w tym mokrym T-shircie wprawdzie wyglądasz bardzo atrakcyjnie, ale powinnaś jak najszybciej się przebrać, i to z dwóch powodów: po pierwsze możesz dostać zapalenia płuc, a po drugie kobieta w mokrym podkoszulku zawsze działa na facetów.

Spojrzała na swój jasnoróżowy T-shirt i aż krzyknęła cicho. Nie zdawała sobie sprawy, ile można zobaczyć przez cienką, mokrą bawełnę i mokry koronkowy stanik. Josh miał okazję dokładnie się zapoznać z wielkością, kształtem i kolorem jej stwardniałych z zimna sutek.

- Może masz rację. - Objęła się ramionami, żeby zasłonić feralne miejsca. - Zrobiło mi się zimno.

- Zauważyłem.

- Prawdziwy dżentelmen pewnych rzeczy nie zauważa.

Zaśmiał się, a Katie natychmiast od tego śmiechu dostała gęsiej skórki.

- Prawdziwy dżentelmen nie jest ślepy - stwierdził. - Widzi, tylko do tego się nie przyznaje.

Jego uśmiech zniewalał ją, dlatego przez głowę znów przemknęła jej myśl, czy jednak nie zrezygnować z łowienia burz w tym sezonie i schronić się w laboratorium.

- Mało tego, że widzi - ciągnął Josh. - Ma normalne męskie odruchy i na widok pięknej kobiety w mokrym T-shircie może się zapomnieć. Pięknej kobiety? Czyżby Josh uważał, że jest atrakcyjna? Ile czasu minęło, kiedy po raz ostatni słyszała komplement?

Dziwnie się czuła, ostatni raz tak z nią było wiele lat temu. Dlatego milczała. Nawet gdyby była to kwestia życia i śmierci, nie potrafiłaby wydobyć z siebie głosu. I była całkowicie pewna, że jedyne rozsądne wyjście, to spakować się, pożegnać z seksownym ranczerem i zwiewać do Albuquerque jak najszybciej, wyciskając, ile się da, z nowego dżipa.

Nie, wcale nie była tego pewna, bo natychmiast pojawił się kontrargument. Uciekać, bo raptem poczuła miętę do przystojnego ranczera? Żenujące. Należy się opanować, ot tak, po prostu, i dalej robić swoje. Do końca czerwca nie musi zjawiać się w instytucie, teoretycznie jest przecież na urlopie, a jak ten urlop spędza, to już jej sprawa.

Kiedy szef stanowczo nie zgodził się na jej samotny wyjazd w teren, postanowiła zrobić to bez jego przyzwolenia. Wzięła sobie wolne i zamieniła leciwego chevroleta na dżipa, a wszystkie oszczędności na skanery, kamery i pełny zestaw przyrządów meteorologicznych. Zbyt wiele w to zainwestowała, żeby teraz się wycofać. Zerknęła na Josha, który wjeżdżał dżipem na drogę prowadzącą do jego rancza. Niezależnie od tego, jak bardzo ten wielkolud jest pociągający, trzeba mu się oprzeć. Trudno, jak mus, to mus.....

ROZDZIAŁ CZWARTY

Josh usiadł na huśtawce ogrodowej na werandzie, nogi w solidnych butach oparł o balustradę. Woda z liści zimozielonego dębu, rosnącego najbliżej domu, miarowo skapywała na dach. Przestało padać ponad godzinę temu, ale po deszczu wcale się nie ochłodziło, odwrotnie, temperatura podskoczyła o kilka stopni. Było duszno i parno.

Zapatrzony w bezksiężycową noc powoli podniósł do ust butelkę o długiej szyjce i pociągnął porządny łyk zimnego piwa.

Niedobrze. To przeczucie, że nadchodzi coś złego, wcale nie było przeczuciem. Było zapowiedzią.

Przeszkłone drzwi skrzypnęły cicho. Na werandę weszła Katie.

- Skończyłaś z wieczornym obrzędkiem? - spytał z uśmiechem.

Skinęła głową, podeszła do szczytu schodów i spojrzała w ciemność.

- Tak. Następna burza zatrzymała się na jakiś czas nad Nowym Meksykiem. Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać, co przyniesie jutrzejszy dzień.

- Racja. Napijesz się piwa?

- Nie, dziękuję. Chciałam tylko przed snem zaczerpnąć świeżego powietrza. - Z uśmiechem przysiadła obok Josha na huśtawce.

- Katie, czy jest jakaś szansa, że ta następna burza gdzieś po drodze się wyszaleje? - spytał po chwili. Odpowiedź znał, ale słuchanie łagodnego głosu Katie sprawiało mu wielką przyjemność.

- Niestety, raczej nie ma na to szans. Jeśli moje obliczenia są prawidłowe, burza w drodze jeszcze przybierze na sile, a wyszaleje się tutaj, nad nami.

- No cóż... trudno. - Pociągnął z butelki. - Podoba ci się twój pokój?

- Tak, dziękuję. Twój dom jest... piękny.

- Miło, że tak myślisz. - Z pewnością była jednak ciekawa, dlaczego w większości pokoi w ogóle nie ma mebli. To jasne.

- Od jak dawna tu mieszkasz, Josh?

- Jakies pięć i pół roku.

- Co?

Roześmiał się na widok zdumienia na jej twarzy.

- Domyślałam się, że urządzenie wewnątrz nie jest twoim ulubionym zajęciem?

- Kiedy powstawał ten dom, było mi wszystko jedno, jak wygląda i czy jest wygodny. Chciałem po prostu stworzyć sobie miejsce, gdzie

będę jadł, spał i brał prysznic. - Opróżnił butelkę do dna. - Poza tym nie miałem głowy do urządzania, bo absorbowało mnie budowanie stada i tworzenie nowego programu hodowlanego.

- W takim razie, dlaczego.... - Potrząsnęła głową. - Och, nieważne.

- Chcesz zapytać, dlaczego zbudowałem taką wielką rezydencję?

- Przepraszam, nie chciałam być wścibska. W końcu to nie moja sprawa. Pójdę już, Josh.

Kiedy zaczęła wstawać z huśtawki, szybko odstawił butelkę na stolik i złapał ją za rękę.

- To żadna tajemnica. Kiedy nasz dom został zniszczony przez tornado, pieniądze z ubezpieczenia dałem jednemu z moich przyjaciół i powiedziałem mu, żeby zbudował mi nowy. Duży czy mały, w jakim stylu... było mi wszystko jedno. Po prostu nowy dom.

- Nasz... dom? Tak powiedziałeś...

- Mój i mojej żony, Marianne. Mieszkaliśmy kilka kilometrów stąd. -

Dziwne, że jej o tym powiedział. Nigdy dotąd z nikim o tym nie rozmawiał. Najpierw było to dla niego zbyt bolesne, potem, kiedy w miarę upływu czasu bolesna rana goiła się, zauważył, że ludzie wcale nie są chętni do podjęcia tego tematu. Czuli się niezręcznie, byli zakłopotani. Jednak Katie też straciła kogoś bliskiego w podobnych okolicznościach i z pewnością potrafiła go zrozumieć jak nikt. - Znalazłem ją w stawie, niedaleko miejsca, gdzie przedtem stał nasz dom. Jej ciało unosiło się na wodzie. Leżała twarzą w dół.

- Och, Josh! Tak bardzo ci współczuję. Odetchnął głęboko.

- Nie wiem, gdzie była, kiedy nadeszło tornado. Może w domu lub próbowała uciec do schronu.

Katie lekko uścisnęła go za rękę.

- Ciebie wtedy tu nie było? - spytała cicho.

- Nie było mnie. - Czas tłumił ból, ale wyrzuty sumienia zostały.

Zawiódł kobietę, którą kochał. - Nie było, chociaż Marianne prosiła, żebym tego dnia został w domu, bo zapowiadano gwałtowną zmianę pogody. Ale dla mnie odstawienie przyczepy z bydłem na targ w Amarillo było ważniejsze niż trzymanie za rękę kobiety, która boi się kilku błyskawic i piorunów.

Katie objęła go w braterskim uścisku, by dodać mu otuchy.

- Nie powinieneś tym się zadręczać, Josh. Texas Panhandle to olbrzymie terytorium, więc prawdopodobieństwo, że tornado uderzy właśnie w miejsce, gdzie stał wasz dom, była jedna na milion.

Też ją objął i oparł się policzkiem o jej głowę.

- Wiem... - powiedział bezradnie i ciężko westchnął. - Ale ja i tak wciąż się zastanawiam, że gdybym wtedy został w domu, wszystko mogłoby potoczyć się inaczej.

- Ja też po śmierci Marka zadreślałam się, że nie powstrzymałam go przed tamtym wyjazdem... Pytałam się samą siebie, co mogłabym zrobić, by nie doszło do najgorszego. Josh, ale to są takie pytania, na które nigdy nie poznamy odpowiedzi. Los układa nasze ścieżki w sobie tylko znany sposób, a my nie jesteśmy w stanie przewidzieć wszystkich konsekwencji naszych czynów czy decyzji.

Spojrzała mu w oczy, on zaś w przyływie czułości delikatnie pocałował ją w atłasowy policzek.

- Pewnie masz rację... Kiedyś myślałem, że ludzie, którzy się kochają, powinni razem umierać, bo ten, kto pozostaje na ziemi, strasznie cierpi, potem jednak zrozumiałem, że nie mam racji. Nie wiem, jak to wyrazić...

- Życie, póki trwa, niech trwa - szepnęła.

- Niech trwa... - powtórzył w zadumie.

- No właśnie. - Uśmiechnęła się, wyraźnie rozluźniona.

- Nie znamy wyroków losu, ale...

- Masz rację, Josh. To „ale” jest najważniejsze. Po raz pierwszy od śmierci Marka wzniosłabym toast za życie.

- Chciałbym ci coś powiedzieć... - Zawahał się.

- Więc powiedz.

- Katie, bardzo mi przykro, że twój narzeczony umarł, ale jestem szczęśliwy, że nie byłaś wtedy razem z nim. Mogłaś też zginąć. Och, Katie... - Znów się zawahał.

- Co, Josh?

- A to, że za każdym razem, kiedy cię dotykam, chce mi się czegoś więcej.

Zanim zdążyła nazwać go skończonym głupkiem czy jeszcze dosadniej, zamknął jej usta pocałunkiem i z największą satysfakcją zauważył, że jego obawy były nieuzasadnione. Katie, zamiast go odepchnąć, wzmocniła tylko uścisk i rozchyliła usta. Jej uległość natychmiast wzmogła jego apetyt na tę kobietę w sposób wręcz niewyobrażalny.

Oczywiście doskonale wiedział, że właśnie zbliżają się do niebezpiecznej granicy. Jeszcze tylko jeden krok i resztę nocy spędzą na poznawaniu siebie nawzajem w najbardziej gruntowny sposób. Zdawał sobie sprawę, że powinien powstrzymać się, zanim sprawa wymknie mu się z rąk. Mimo to nie przerywał pocałunku. Całował dalej, zapamiętając, głaszcząc Katie po plecach i niżej, po zgrabnym tyłeczku, odzianym w niebieskie dżinsy, w których w miejscu, gdzie słodki tyłeczek się kończył i zaczynała się noga, było malutkie rozdarcie.

Kiedy sobie o tym przypomniał, jęknął.

I ten jęk natychmiast go otrzeźwił. Poderwał głowę, zaklął w duchu. Gdyby przyznawano nagrody za głupotę, niewątpliwie otrzymałby puchar zwycięzcy. Katie Davidson nie przyjechała do Broken Bow po to, żeby ktoś ją uwiódł, a on, choć w tej właśnie chwili chciałby zaprzeczyć temu z całą stanowczością - był dżentelmenem.

Zamknął oczy, głęboko odetchnął. Miał przecież zamiar zrobić coś, przeciwko czemu buntowało się całe jego ciało, ale nie miał sumienia wykorzystywać sytuacji.

- Przepraszam, skarbie, ale nasz miły wieczór niestety dobiegł końca. Mam coś pilnego do zrobienia.

Katie wyglądała łagodnie i słodko, a także jak ktoś kompletnie zbity z tropu.

- Może w czymś ci pomóc?

Po jej nadzwyczaj uprzejmie zadanym pytaniu Josh poczuł, że oblewa się zimnym potem, pomyślał bowiem natychmiast, w jaki to sposób Katie mogłaby najbardziej mu dopomóc.

- Tak, mogłabyś. - Znów jęknął cicho i potrząsnął głową, żeby się w niej przejaśniło, potem musnął ustami wargi Katie i odsunął się od niej. Szybko, żeby na zmianę zdania zabrakło czasu. - Idź już na górę.

Ja wezmę zimny prysznic. Lodowaty, żeby schłodzić sobie tyłek.

Katie zbudził krzyk. Głośny, pełen przerażenia. Dopiero po chwili uzmysłowiła sobie, że to ona krzyczała. Śniło jej się tornado, takie samo, jakie poprzedniego dnia oglądała razem z Joshem. Jednak we śnie było inaczej. Nie obserwowali z daleka, jak rozgniewana natura dokonuje spustoszenia, tylko uciekali przed nią, by chronić kruche życie.

Usiadła na łóżku, drżącą ręką odgarnęła włosy z twarzy i rozejrzała się po ciemnym pokoju. Serce waliło jej jak młot. Uspokoilo się nieco dopiero po kilku głębokich oddechach.

Nigdy nie wierzyła w żadne przepowiednie czy prorocze sny, ale ten koszmar był taki realny, taki wyrazisty. Ona i Josh uciekali przed burzą, a raczej próbowali uciekać, bo ich kroki były bardzo powolne. Jakby ktoś im do nóg przywiązał ciężkie kamienie.

Nagle drzwi stanęły otworem.

- Katie! - Josh jak mściwy wojownik wkroczył do pokoju. Jego rosła postać, podświetlona z tyłu światłem z holu, wyglądała po prostu imponująco. - Katie! Wszystko w porządku?

Jej serce zatrzymało się na chwilę, potem znów wrzuciło trzeci bieg. Była zszokowana zarówno nagłością jego wtargnięcia, jak i tym, co wtargnęło. A wtargnęło cudowne męskie ciało, które mogła teraz podziwiać niemal w stu procentach, ponieważ Josh miał na sobie wyłącznie białe bawełniane bokserki. Wyglądał jak gniewny grecki bóg, który opuścił Olimp, żeby zaprowadzić na tym świecie chociaż trochę ładu.

- Wszystko było w porządku, dopóki mnie nie wystraszyłeś - skłamała jak z nut i szybko podciągnęła kołdrę pod samą brodę. Josh podszedł do nocnej szafki, zapalił lampkę i na chwilę wbił w Katie wzrok.

- Jeśli to prawda, to dlaczego mnie wołałaś? I dlaczego wyglądasz na śmiertelnie przerażoną?

O matko! Wołała go? Darła się: Josh?! To fatalnie.

- Miałam okropny sen. Prawdziwy koszmar.

- Śniła ci się burza?

- Tak.

Zanim zdążyła zaprotestować, usiadł na brzegu łóżka i przytulił ją do siebie.

- Już w porządku, Katie. Kiedy jestem przy tobie, nic ci nie grozi.

- Wiem.

Może to i absurd, ale w ciągu kilku minionych godzin czuła się bezpieczna jak nigdy dotąd. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Josh gotów jest poruszyć niebo i ziemię, by zagwarantować jej bezpieczeństwo.

- Chcesz może pogadać? Opowiedzieć mi o tym śnie? - spytał głosem cudownie ciepłym i łagodnym.

- Nie, Josh. Lepiej nie... - Zadrżała i wtuliła się w niego jeszcze mocniej. - To był koszmar. Wszystko wydawało się tak przerażająco prawdziwe...

Przez kilka minut siedzieli w milczeniu. Czas mijał, a z jego biegiem skutki straszego snu zaczęło zastępować napięcie całkiem innego rodzaju. Wspomnienie koszmaru zatarło się w pamięci Katie, teraz rozkoszowała się stanem faktycznym. Otaczały ją twarde mięśnie, które miały w sobie tyleż samo siły, co łagodności. Jak cudownie być obejmowaną przez mężczyznę. Takiego mężczyznę...

Oprócz obejmowania Josh dostarczał jej jeszcze innych przyjemności. Jedną ręką głaskał ją po głowie, drugą delikatnie masował barki, usuwając stres.

- Bardzo lubię cię obejmować - szepnął.

- Ja ciebie też - odszepnęła, przytulając policzek do jego nagiej piersi. Słyszała, jak głośno wciągnął powietrze, potem pochylił głowę i zajrzał jej głęboko w oczy. Kiedy zobaczyła jego płonący pożądaniem wzrok, na moment zabrakło jej tchu. Doskonale wiedziała, że Josh ma zamiar ją pocałować i chociaż oznaczało to dla niej katastrofę, wcale nie miała zamiaru go powstrzymywać.

Przeciwnie. Od razu rozchyliła usta i z miejsca zapamiętała się w tym pocałunku w cudowny, radosny sposób. Serce biło głośno, energicznie, każdy nerw w jej ciele budził się do życia. A kiedy poczuła, jak dłoń Josha wsuwa się pod jej pierś, szepnęła coś cichutko, zawierając w tym całą tęsknotę kobiecego ciała i rodzące się najdziksze pragnienia.

Josh przerwał pocałunek, potrząsnął energicznie głową i oparł się czołem o czoło Katie.

- Myślę, skarbie, że powinienem jak najszybciej opuścić ten pokój, póki jestem jeszcze do tego zdolny.

- Tak... tak chyba będzie najlepiej - przytaknęła, choć jednocześnie jej ręce zacisnęły się wokół niego jeszcze mocniej.

- Lubię cię obejmować, Katie.

- Ja też... - Przesunęła palcami po jego twardych, umięśnionych barkach. - Bardzo lubię.

Josh pocałował jedną jej powiekę, potem drugą. Lewy policzek i prawy. Cmoknął w czubek nosa.

- Powiedz, Katie, żebym przestał. Powiedz mi, że mam natychmiast stąd wyjść.

- Ale ja... ja wcale nie jestem pewna, czy tego chcę - wyznała szczerze.

- No to mamy problem, skarbie.

Rozpiął guziczki w jej cienkiej, bawełnianej koszuli nocnej. Ciepła dłoń spoczęła na nagiej skórze Katie.

- Dlaczego... dlaczego mamy kłopot? - spytała, sama nie wierząc, że ten niski, lekko zadyszany głos należy do niej.

- Nie jestem pewien, czy będę miał dość siły, żeby stąd odejść.

Odejść? Miałby zostawić ją samą z tym nieprawdopodobnym požądaniem, od którego wszystko zaczynało ją już boleć?

- Masz rację, Josh. Mamy ogromny problem. Bo ja... ja wcale nie chcę, żebyś był dżentelmenem.

- Aha... więc czego chcesz, Katie? Czego ona chce?

W ciągu całego swego życia, trwającego dwadzieścia dziewięć lat, nigdy nie była spontaniczna. Po prostu taka nie była, i to do tego stopnia, że ona i Mark, zanim kochali się po raz pierwszy, zaplanowali wszystko bardzo dokładnie, każdy szczegół, jakby mieli zamiar przeprowadzić jakiś eksperyment naukowy.

Tym razem było inaczej. Po raz pierwszy w życiu nie chciała słyszeć o jakichkolwiek szczegółach i przemyśleniach. Czowała się całkowicie wolna, podporządkowana tylko i wyłącznie swoim zmysłom, gotowa doświadczać na własnej skórze skutków swej nowo odkrytej namiętności. Chciała się kochać z nim, z Joshem.

Odchyliła głowę, żeby przechwycić jego rozplómięte spojrzenie. Doskonale zdawała sobie sprawę, że poddaje się impulsowi, co jest całkowicie sprzeczne z jej naturą, ale było jej wszystko jedno. Była pewna, że jeśli zaraz nie będzie się kochać z tym niesamowitym mężczyzną, to po prostu zwariuje.

- Chcę cię, Josh.

- Więc będziesz mnie miała, skarbie.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego ranka Josh, stojąc przed lustrem w swojej łazience, po raz drugi wymamrotał pod nosem całą wiązaną nieparlamentarnych słów. Przekłęta maszynka do golenia po raz drugi wbiła się w jego skórę. Jeśli nie zacznie uważać, co robi, skończy się na tym, że będzie wyglądał jak po stoczeniu walki z pumą. Z drugiej strony jego brak koncentracji był całkowicie usprawiedliwiony. Po tej nocy, jednej z najbardziej zachwycających w jego życiu, trudno było myśleć o czymś innym niż o tym, co tej nocy przeżyli razem z Katie. O tym, co przeżyją jeszcze niejednym razem. Takie przynajmniej były jego plany. Starł z policzków resztki pianki do golenia i przez kilka długich sekund wpatrywał się w swoje odbicie w lustrze, pochłonięty dylematem, jak mogło do tego wszystkiego dojść.

Po śmierci Marianne zdarzyło mu się kilkakrotnie być z jakąś kobietą, po prostu żeby sobie ulżyć po dłuższym okresie celibatu. Brał je i rozstawał się z nimi bez żalu. Jednak z Katie było inaczej. Ta jedna noc wzbudziła w nim jeszcze większy apetyt.

Wciąż pochłonięty tym dylematem, ściągnął ręcznik z bioder, wrzucił go do kosza na brudną bieliznę i wszedł do sypialni, żeby się ubrać. Co w tej Katie jest, że tak bardzo się różni od innych kobiet? Kochali się całą noc jak wariaci, więc powinien być, jak to mówią, nasycony, a on, wręcz przeciwnie, miał na nią jeszcze większą ochotę.

Poza tym nowością jest coś jeszcze. Ten wewnętrzny spokój. Przez pięć lat żył z poczuciem winy, a teraz czuł się oczyszczony. Miał wrażenie, jakby życie podsunęło mu drugą szansę i kazało z niej skorzystać.

Czyżby w końcu pogodził się ze swoją rolą, jaką odegrał w tragicznej śmierci Marianne? Zawarł ugodę z przeszłością i będzie mógł posuwać się do przodu, żyć dla przyszłości?

Siadł na brzegu łóżka i wciągając buty, doszedł do wniosku, że wcale nie będzie łatwo odpowiedzieć na te pytania. Czas pokaże, jak to naprawdę jest, lecz teraz nie ma sensu się nad tym zastanawiać, bo im więcej czasu poświęci na rozważania, tym mniej go spędzi z Katie. Schodząc na dół, słyszał z daleka Katie i Earla, którzy zażarcie debatowali o zaletach porządnego śniadania. Nadal reprezentowali odmienne stanowiska. Earl optował za jajkami lub stekiem, a najlepiej to „rzucić na patelnię resztki mięsa z poprzedniego dnia, dodać jakieś warzywa i parę ziemniaków, no i ma się siłę do roboty”. Zasadnicze

przesłanie było takie, że trzeba zjeść coś konkretnego, a nie, jak Katie, skubać mufinki z truskawkami.

- Tyle jesz, co komar, dziewczyno! - narzekał Earl. - Chyba nawet mniej, bo i komar na twojej diecie długo by nie pociągnął. Rano trzeba coś porządnego wrzucić na ruszt!

Katie, zauważywszy Josha, uśmiechnęła się do niego. Uśmiech był jak zwykle uroczy, teraz tylko jakby odrobinę nieśmiały.

- Dzień dobry, Josh!

- Dzień dobry, Katie. - Odchrząknął. - Jak ci się spało w nowym miejscu?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

W lazurach oczu dojrzał błysk, nic więc dziwnego, że jego puls natychmiast wystartował.

- A tobie jak się spało, Josh?

- Miałem fantastyczną noc. - Najchętniej porwałby Katie na ręce, zaniósł z powrotem na górę i powtórzył wszystko, od samego początku, co działo się tej nocy. Naturalnie nic z tego, najwyżej będzie mógł sobie w ciągu dnia powspominać słodkie chwile.

Katie przez chwilę nie odrywała od niego wzroku.

- Och, przepraszam, panie Crawshaw! - zawołała po chwili, oblewając się rumieńcem.

- O czym to mówiliśmy?

Stary, doświadczony przez życie człowiek przez chwilę milczał, spoglądając to na jedno, to na drugie, a potem ramiona zaczęły mu się trząść. Rechotał ze śmiechu.

- Nie... nie mogę! - wykrztusił po chwili.

- Dam się pokrajać, że oczy mnie nie mylą. Jeśli mylą, to przed pokrajaniem gotów jestem za karę zjeść swój kapelusz, i to przy świadkach. Moglibyście zaprosić tu paru sąsiadów na to widowisko. Ale to mi nie grozi. Och, z całą pewnością nie grozi! I chwała Bogu, bo najwyższy czas, Josh, żebyś...

- Earl, lepiej uważaj - przerwał mu ostro. - Bo zanim cielak dwa razy machnie ogonem, ty wylecisz z pracy...

- A wywalaj mnie, wywalaj... - Sędziwy gospość aż zanosił się od śmiechu. - Zapomniałeś już, Joshua, że w zeszłym tygodniu sam trzy razy chciałem odejść?

- O! - Katie spoglądała na nich nieco zmieszana. - Przepraszam, czy ja o czymś nie wiem?

- spytała niepewnym głosem.

- Nie przejmuj się, Katie - rzucił Josh, który najchętniej udusiłby starego dziwaka własnymi rękami. - Earl na ogół jest niegroźny, ale kiedy zapomni wziąć swoje lekarstwo, ma halucynacje i gada od rzeczy.

Stary dziwak wcale się nie przejął taką charakterystyką swojej osoby.

- On cię podpuszcza, dziewczyno. Biorę tylko tabletki na reumatyzm!

- Wytarł fartuchem załzawione od śmiechu oczy i pokuśtykał do kuchennego pieca, wziął talerz z jajkami i stekiem, postawił go na stole przed Joshem i znów zaniósł się rechotliwym śmiechem. - Ten młody byczek, dziewczyno, wie równie dobrze jak ja, że jestem bardzo spostrzegawczy. Bardzo często widzę coś, o czym inni nie mają pojęcia.

Niestety resztki nadziei Josha, że stary Earl nie zauważył, co dzieje się między jego szefem a piękną łowczynią burz, znikły jak mgła na wietrze.

- Katie? Co radar powiedział dziś rano? - spytał, pragnąc gorąco, żeby rozmowa zesłała na bezpieczniejsze tory. - Czy ten front znów się ruszył?

- Według moich obliczeń powinien dojść tutaj po południu albo pod wieczór.

- Rozumiem. - Zasiadł za stołem i zabrał się do jedzenia, zaraz jednak znów spytał: - A jak sądzisz, o której godzinie należałoby wyjechać stąd, żeby mieć czas na znalezienie bezpiecznego miejsca do obserwacji?

- Myślę, że jakąś godzinę po lunchu. - Gdy wstała, Josh i Earl natychmiast podnieśli się ze swoich krzeseł. Katie spojrzała na nich z niepokojem. - Przepraszam, stało się coś?

Josh uśmiechnął się.

- Nie, ale my, faceci z Teksasu, znamy się na dobrych manierach, choć stosujemy je rzadko.

Roześmiała się.

- Dziękuję. Nie pamiętam już, kiedy po raz ostatni traktowano mnie jak kobietę, a nie jak kolegę z pracy. - Wstawiła swój talerz i kubek do zlewozmywaka, odwróciła się i na pożegnanie posłała teksańskim dżentelmenom swój zabójczy uśmiech. - Josh, czy mogłabym zadzwonić z twojego telefonu w kilka miejsc? Chciałabym porównać

moje obliczenia z kolegami z mojego instytutu i z Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

- Bardzo proszę, dzwoń, ile chcesz. - Jeśli dalej będzie się tak uśmiechać, może robić wszystko, co jej się żywnie spodoba, a on i tak będzie zachwycony.

- Dziękuję, Josh.

Kiedy wychodziła z kuchni, na moment zapatrzył się na jej cudownie kołyszące się biodra w opiętych dżinsach. Tę drobną przyjemność zepsuł mu, oczywiście, stary zgred, który zaczął chichotać złośliwie.

- Gorzej ci? - spytał Josh wielce poirytowanym głosem.

- Nie, wcale nie gorzej, Joshua. To z radości. Cieszę się, że nareszcie od wielu lat wszystko gra.

Josh opadł na krzesło, zmrużył oczy i skierował gniewny wzrok na człowieka, który od wielu już lat był jego najlepszym przyjacielem.

- Chciałbyś coś powiedzieć, Earl?

- No cóż... może i tak, skoro sam zacząłeś. Po prostu jestem zadowolony, bo już zaczynałem się zastanawiać, czy ty w ogóle kiedykolwiek znajdziesz sobie drugą kobietę.

Josh, nagle tracąc apetyt, odsunął od siebie talerz. Nie miał zamiaru zaprzeczać, że między nim a Katie zaiskrzyło, i to całkiem porządnie, lecz nie miał zamiaru tego z kimkolwiek roztrząsać.

- Earl, przyjaźnimy się już kupę lat.

- Zgadza się. Ja i twoi świętej pamięci rodzice byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, jeszcze zanim ty zjawiłeś się na świecie.

- Wiem. I wiem, że znasz mnie od podszewki, ale są pewne sprawy, o których...

- Jasne! - Earl ze zrozumieniem pokiwał głową. - Wcale nie chcę wtykać w to swojego nosa. Chcę tylko powiedzieć, że miło popatrzeć, jak ty i to dziewczę macie się ku sobie. To daje nadzieję, że dożyję dnia, kiedy po tym domu będzie biegać kilku małych urwisów.

Josh wybuchnął śmiechem.

- Earl, jak cię znam, uznałbyś dzieciaki za kolejny powód do gderania.

- Czymś trzeba się zająć, co nie? - roześmiał się stary zrzęda i wstał z krzesła. - No dobrze. My tu gadu, gadu, a robota czeka.

Josh złapał kapelusz i poszedł do baraku, żeby wydać pracownikom polecenia na cały dzień. Po drodze, naturalnie, rozważył jeszcze to i owo. Kiedy ożenił się z Marianne, spodziewał się, że razem stworzą

liczną rodzinę. Tak było wtedy. A teraz? Czy marzenie o żonie i dzieciach przetrwało?

Większość ludzi powiedziała by, że oszalał. Od chwili przybycia Katie na ranczo nie minęła jeszcze pełna doba, a on zaczyna już snuć plany na przyszłość. Dla ludzi - szaleństwo, dla Josha - rzecz normalna.

Należał przecież do tych mężczyzn, którym wystarczyło jedno spojrzenie, żeby wiedzieć, czego chcą. Tym właśnie odznaczyli się Garrettowie. Dziadkowie pobrali się po siedemdziesięciu dwóch godzinach znajomości, matka i ojciec Josha, zanim poszli do ołtarza, znali się zaledwie tydzień. Oba małżeństwa przetrwały próbę czasu. Więcej, były to bardzo dobre, szczęśliwe małżeństwa.

Josh i Marianne sprzeniewierzyli się tej tradycji Garrettów. Zanim się pobrali, spotykali się przez kilka lat. Josh kochał Marianne i nie miał wątpliwości, że ich związek będzie trwały, mimo to czasami zastanawiał się, dlaczego w ich przypadku jednak nie stało się tak, że tylko spojrzeli i już wiedział, że to kobieta dla niego.

A z Katie tak właśnie było. Już w tej pierwszej chwili, kiedy wysiadła z dżipa, miał wrażenie, jakby spotkał bardzo bliską osobę. Bliższą niż wszyscy, nie wyłączając zmarłej żony. Czy to nie oznaczało, że Katie jest jego pokrewną duszą?

- Chyba upadłeś na głowę, Garrett - mruknął, choć zarazem wiedział, że coś musiało w tym być, bo od tej niecałej doby czuł się jak nowo narodzony. Tak świetnie nie czuł się od lat. Poza tym, abstrahując od tradycji Garrettów, za każdym razem, kiedy brał Katie w ramiona, miał poczucie, że w końcu odnalazł swoją drugą połowę.

Jechali drogą prowadzącą na zachód. Josh za kierownicą, Katie zajęta studiowaniem mapy rozłożonej na kolanach. Dla większości ludzi te wszystkie purpurowe, czerwone i niebieskie znaczki na mapie wydawałyby się bezładną bazgraniną. Zupełnie jakby ktoś sobie coś tam mazał podczas przydługiej rozmowy przez telefon. A tymczasem każda linia, każda cyfra mówiła Katie bardzo dużo. Wystarczająco dużo, żeby najbardziej nawet doświadczony i zahartowany w bojach z matką naturą łowca burz poczuł na plecach lodowaty dreszcz.

- Czy to straż przednia? - spytał Josh, zerkając w niebo. - Spójrz! Katie poderwała głowę i spojrzała na pasmo małych kłębiastych chmur, które sunęły w ich kierunku.

- Tak. To zapowiedź. Główna ławica nadpłynie pewnie za kilka godzin. Sądzę, że dopiero po południu zacznie się coś dziać. Choć tu, w Teksasie, często zdarzają się odstępstwa od reguły.

Josh wjechał w boczną drogę. Po obu jej stronach, jak daleko sięgał wzrok, ciągnął się płot z kolczastego drutu.

- Słyszałem, że niektórzy synoptycy nazywają to magią Teksasu - rzucił z uśmiechem.

- Tak, i coś w tym jest. Mimo prognoz i tak nigdy do końca nie wiadomo, jak będzie. Ale tu, w zachodnim Teksasie, sytuacja jest rzeczywiście nietypowa. Bardzo często burze przekształcają się w tornada, chociaż wcale nie istnieją ku temu sprzyjające warunki. Josh, zatrzymaj się na chwilę tam, koło tych zagród. Chcę sprawdzić najnowsze dane Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej.

Stanął na wskazanym miejscu, wyłączył silnik i nachylił się nad mapą.

- Jaki teren obejmie to tornado?

- Dziś rano rozmawiałam z biurem w Amarillo. Ich dane są zbieżne z moją prognozą, a według mnie istnieje duże prawdopodobieństwo, że wystąpi kilka burz na obszarze o szerokości około stu sześćdziesięciu kilometrów. Spójrz... prawdopodobnie tu, nad tym miejscem, chmury burzowe wytworzą tornado....

Rozmawiali o burzach, a ona cały czas zastanawiała się, co właściwie Josh myśli. Choć żadne z nich nie wspomniało ani słowem o tym, co zdarzyło się ostatniej nocy, wiadomo było, że myśli obojga oscylują wokół tego właśnie tematu.

Dla niej ta wspólna noc była czymś więcej niż przebudzeniem po długim okresie żałoby i osamotnienia. Czymś więcej, niż tylko gwałtownym porywem namiętności. Bo chociaż może i brzmiało to absurdalnie, ale kiedy znalazła się w ramionach Josha, miała wrażenie, jakby znalazła się w miejscu, którego szukała przez całe życie. Przy nim czuła się spełniona, a tego uczucia nie wzbudzał w niej nawet Mark. Fakt, że z Joshem znali się zaledwie jeden dzień, zdawał się nie mieć żadnego znaczenia. Tej nocy w sposób naturalny połączyły się nie tylko ich ciała, lecz i dusze, jakby był to fakt najbardziej właściwy ze wszystkich. Katie nigdy jeszcze czegoś takiego nie doświadczyła.

- Skarbie, czy ty mnie słuchasz?

Policzki Katie natychmiast oblały się krwistym rumieńcem.

- Przepraszam. Zamyśliłam się. Po prostu zastanawiałam się nad czymś.

- Ja też.

Uśmiech Josha świadczył, że doskonale wie, nad czym rozmyślała, a temat jej rozmyślań wcale nie jest mu obojętny.

- Wieczorem, kiedy wrócimy na rancho, musimy pogadać, skarbie. Koniecznie.

Duża, stwardniała od ciężkiej pracy dłoń ranczera musnęła jej policzek. Przymknęła oczy. Jak dobrze...

Niestety, radio znów dało znać o sobie. Katie szybko wyłączyła alarm i zaczęła chłonąć każde słowo najnowszego komunikatu. W związku z zagrożeniem tornadem nakazywano największą czujność na terenie całego Teksasu, południowej Oklahomy, a także na dużych obszarach południowo-zachodniego Kansas.

Natychmiast sprawdziła w laptopie najświeższe obrazy radaru dopplerowskiego. Josh zerkał jej przez ramię i zobaczył nierówną zieloną linię, biegnącą z południowego zachodu na północny wschód. Potem Katie spojrzała na zdjęcia satelitarne. Popatrzyła przez chwilę na białe chmurki widoczne na ekranie i mruknęła:

- Niedobrze. Wszystko odbywa się nadszpodziewanie szybko.

Wzięła kilka przyrządów, wyskoczyła z dżipa i zrobiła kilka pomiarów. Nanosząc je na mapę, z niezadowoleniem kręciła głową.

- Punkt rosy i południowe wiatry nasilają się. Ciśnienie atmosferyczne leci w dół.

- I co teraz zamierzasz zrobić, Katie? Zostać tutaj czy jechać i próbować przychwycić to tornado?

Posępna twarz Josha świadczyła, że żadną z tych opcji nie jest zachwycony.

- Możemy pojechać parę kilometrów na południowy zachód i zrobić kilka pomiarów. - Jeszcze raz sprawdziła obraz radaru i poczuła na plecach lodowaty dreszcz, kiedy spojrzała na jasnożółte kółeczko, które krążyło wokół jasnoczerwonej kropki. Radar wykrył w chmurach rotację, a był to sygnał, że zaczyna formować się tornado. - Biorąc pod uwagę kierunek przesuwania się chmur oraz zwiększającą się prędkość wiatru, sądzę, że za jakieś dwadzieścia minut zobaczymy go na własne oczy.

Jakby wywołała wilka z lasu, w tym momencie bowiem włączył się alarm. Nadchodziło tornado. Stan alarmowy ogłoszono w trzech

hrabstwach. Na zagrożonym terenie znajdowała się większa część rancza Josha.

Josh, słuchając komunikatu, czuł, jak cały w środku lodowacieje.

- Cholera! On idzie prosto na nas!

Katie jeszcze raz sprawdzała coś na mapach pogodowych, potem przez chwilę studiowała mapę drogową.

- Jeśli te wszystkie dane są prawdziwe, a prawie na pewno tak jest, tornado przejdzie blisko nas. I nie będziemy na nie długo czekać.

Sądzę, że jest jakieś dwadzieścia pięć do trzydziestu kilometrów stąd.

Josh, kiedy uruchamiał silnik i wyjeżdżał na drogę, czuł, że najdalszy jest od komfortu psychicznego. Asystowanie Katie podczas polowania na burze nie uczyniło z niego żadnego eksperta, był jednak

dostatecznie bystry, żeby z tego, co zobaczył na ekranie, wyciągnąć dwa wnioski. Po pierwsze, nadciągające tornado jest co najmniej trzykrotnie potężniejsze niż to, które uderzyło na Bealville. A po drugie - uderzy w tę samą część rancza, gdzie zginęła Marianne.

- Zatrzymajmy się tutaj. To chyba dobre miejsce - powiedziała Katie, kiedy wjechali na szczyt niewielkiego wzgórza. Mimo że z powodu dużej wilgotności niebo przesłonięte było mgłą, widać było w oddali nadciągające chmury. Były gigantyczne, wyglądały jak rozgniewane potwory, które obudzono z głębokiego snu.

- Będiesz robiła nowe pomiary, Katie?

- Tak. Zdjęcia też.

Ustawiła kamkorder na desce rozdzielczej i włączyła go, potem wręczyła Joshowi aparat cyfrowy, ten sam, którego używał poprzedniego dnia.

- W bagażniku mam statyw. Wyjmij go i rozstaw, a ja jeszcze raz sprawdzę obraz radaru.

Wysiadł z samochodu i tak jak prosiła Katie, ustawił sprzęt, naturalnie w odpowiedniej odległości od płotu z kolczastego drutu. Nie było sensu dodatkowo zwiększać niebezpieczeństwa i narażać się na porażenie prądem.. Przecież wystarczyło jedno uderzenie błyskawicy i płot zmieniłby się w linię wysokiego napięcia.

- Jaka decyzja? Zaczekamy tu, żeby zobaczyć, w którą stronę pójdzie? - spytał, wracając do Katie, która stała nieruchomo z anemometrem w wyciągniętym ręku.

- Możemy pojechać w jego stronę i spróbować przechwycić to tornado, ale jeśli nie zmieni kursu, nie ma sensu tego robić. I tak przejdzie obok nas w odległości niecałych dwóch kilometrów. Dla doświadczonego łowcy burz dwa kilometry były prawdopodobnie bezpieczną odległością, ale Josh uważał ją za stanowczo zbyt małą. Kiedy razem z Katie wpatrywał się w ciemniejące niebo, uzmysłowił sobie, że w tej części rancza nie był od pięciu lat, od chwili, gdy skończono rozbiórkę tego, co zostało z jego i Marianne domu. Ruiny usunięto do ostatniej cegły, ale niedaleko stąd, w ziemi, nadal było coś, co stanowiło rozwiązanie. Będą mieli gdzie się schronić na wypadek, gdyby to cholerne tornado nagle zmieniło kierunek. Zadowolony, że ma plan awaryjny, a także z tego, że jego pracownicy utrzymują drogi na ranczo w przyzwoitym stanie, przystąpił do spełnienia prośby Katie, czyli zaczął robić zdjęcia.

- Te chmury są dziś chyba dwa razy wyżej niż wczoraj - powiedział po chwili.

Katie skinęła głową i wskazała ręką na ławicę chmur.

- Widzisz, jak spłaszczyły się na szczycie? I wystaje tam tylko jedna chmura?

- Tak. Widzę. Wygląda to jak kowadło.

- Kowadło wypełnione kryształkami lodu. Jestem pewna, że po drugiej stronie tej ściany chmur pada grad.

Grad... Josh zaklął w duchu. Doskonale zdawał sobie sprawę, jakie powstaną szkody na polach sąsiadów.

Katie pobiegła na chwilę do notebooka, by sprawdzić obraz radaru.

- Josh, nastaw obiektyw tam - powiedziała po powrocie. - Zobaczysz duży obszar zorganizowanej rotacji.

Wycelował obiektywem we wskazane miejsce, nacisnął zoom i spojrzął na wyświetlacz. W samym środku masy chmur wirowało. Beładnie rotująca masa zaczynała formować się w stożkowaty lej, podobny do leja tornado z „Czarnoksiężnika z krainy Oz”. Wokół leja tańczyły postrzępione kawałki chmur. A on, złowrogi i gigantyczny, celował w ziemię.

Przerażony tym widokiem zapomniał o robieniu zdjęć, tylko stał nieruchomo i patrzył, jak potężne siły natury dają ludziom kolejną lekcję swoich możliwości.

- Osiągnął już chyba F3, albo i więcej - powiedziała Katie. - Widzisz przecież, jak te wiry zbierają się w jeden główny stożek.

Wiatr przybierał na sile, był coraz bardziej porywisty. Katie podniosła anemometr, sprawdziła wynik pomiaru i z niezadowolaniem pokręciła głową.

- Nie podoba mi się to.
- Co?
- Wiatr zmienia kierunek.

Zacząła nanosić dane na mapy. Josh nie odrywał oczu od gigantycznego wiru, oddalonego o jakieś półtora kilometra. Dotknął już ziemi, teraz gnał przed siebie przez zielone pola. Już nie biały stożek, ale obrzydliwe wirujące monstrum w kolorze węgla drzewnego i nieokreślonym kształcie. Bez cienia litości porywało wszystko, co napotkało na swojej drodze.

Jednym ruchem złożył statyw.

- Katie! Idzie na nas! Poderwała głowę.
- O Boże! Nabiera prędkości!
- Szybko do samochodu! Natychmiast! Nagły podmuch wiatru omal nie wydarł mu statywu z rąk. Josh złapał mocno Katie za rękę i pociągnął za sobą do samochodu. Wrzucił statyw na tył samochodu, wepchnął Katie i sam wskoczył za kierownicę.
- Josh, dlaczego... - zaczęła oburzonym głosem.
- Dlatego! - warknął, włączając silnik. Podczas jednej z takich potwornych burz stracił

Marianne. Będzie przeklęty, jeśli teraz straci Katie. Nie dopuści do tego. Dopóki jeszcze oddycha, zrobi wszystko, żeby uciekli przed tym piekłem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Katie nie zdążyła jeszcze zapiąć pasów, kiedy Josh wjechał na polną drogę i przycisnął gaz do dechy. Rozpoczęła się szaleńcza jazda. Potężne wichry, zasilające cyrkulację tornada, kilkakrotnie próbowały zepchnąć samochód do rowu. Josh toczył prawdziwą walkę o utrzymanie auta w normalnej pozycji, zaś Katie wzrok miała wbity w boczne lusterko. Jej serce waliło jak młot, dłonie zwilgotniały. Wszystko działo się jak w jej śnie. Tornado pędziło prosto na nich. Chcieli uciekać co sił, ale wichur przeszkadzał im w ucieczce, w tym wyścigu o życie.

Josh skręcił z drogi, najechał na płot, strzaskał go i pognął przez pastwisko. Katie złożyła sobie w duchu szybkie podziękowanie. To nie zwykły przypadek, to cud, że kupiła pojazd z napędem na cztery koła. Tylko dzięki temu możliwa była ta szaleńcza ucieczka na przelaj.

- Trzymaj się! - krzyknął Josh i staranował następny płot z kolczastego drutu. Potem nagle wyciągnął rękę i odpiął pas Katie. - Widzisz ten kopczyk przed sobą? Tam jest schron, jest schowany w ziemi. Może być częściowo zalany, nie wiem, bo nikt tam nie wchodził od kilku lat. To nasza jedyna szansa. Podjadę najbliżej, jak się da. Kiedy zatrzymam samochód, natychmiast wyskakuj i biegnij do schronu. Zrozumiałaś?

Jej struny głosowe były sparaliżowane strachem, dlatego skinęła tylko głową i jeszcze raz spojrzała w boczne lusterko. Natychmiast tego pożałowała. To, co zobaczyła, potwierdziło tylko jej najgorsze obawy. Tornado parło wprost na nich i dopiero to będzie prawdziwy cud, jeśli zdążą dotrzeć do schronu, zanim samochód zostanie wessany w monstrialny wir.

Kiedy Josh nacisnął na hamulec, Katie zrobiła, co jej kazał.

Wyskoczyła na zewnątrz i zaczęła biec co sił do żelaznych drzwi z boku małego, porośniętego trawą kopca. Wichur szarpał jej ubranie, jego ryk był ogłuszający. Z trudem utrzymywała się na nogach. W powietrzu fruwały jakieś odłamki, grudy ziemi, patyki. Uderzały ją po twarzy, drapały, ale to wszystko nieważne. Byle tylko dobiec do tych drzwi...

Na szczęście Josh dotarł do nich ułamek sekundy przed nią i natychmiast je otworzył. W innej sytuacji Katie na pewno ociągałaby się z wejściem do mrocznego, wilgotnego pomieszczenia, cuchnącego

stęchlizną i przypominającego grobowiec, lecz przy Joshii bez chwili wahania zaczęła schodzić po kamiennych schodach. W ich połowie poczuła, że jej stopy zanurzają się w wodzie. Na moment zabrakło jej tchu, ale schodziła dalej. Słyszała, jak Josh zarygłował drzwiami i ruszył za nią. Stała w kompletnych ciemnościach po pas w wodzie i rozpierała ją radość. Dali radę uciec, byli bezpieczni. Czowała, że łzy napływają jej do oczu, że ze wzruszenia słabnie. Na szczęście otoczyły ją silne, chroniące przed wszelkim złem ramiona.

- Och, Josh... - wydyszała. - Tak się bałam, że nie zdążymy...

- Ale, na szczęście, zdążyliśmy, skarbie. I jesteśmy bezpieczni.

Jego serce biło głośno i miarowo tuż przy jej uchu. Słyszała oddech Josha. Były to dobre dźwięki, dodające otuchy i nadziei, niestety po chwili zagłuszyły je inne. Straszne, przerażające dźwięki, niosące zewniszczenia i zagłady. Ziemia zadrżała. Katie miała wrażenie, jakby nad ich głowami przejeżdżał z hukiem pociąg towarowy z wagonami pełnymi najcięższych kamieni.

Huk był ogłuszający. Ten pociąg jechał i jechał... Drżąc spazmatycznie, Katie wparła się całym ciałem w swoją opokę, w Josha, starając się nie myśleć, co by się stało, gdyby nie zdążyli dobiec do schronu. Byli o krok od znalezienia się w statystykach... Zdając sobie sprawę, że Katie jest bliska paniki, objął jej twarz i przytulił do swojej twarzy. Chciał, żeby odczuła jeszcze bardziej jego obecność, a nie zadręczała się myślą, że przed chwilą zajrzała śmierci w oczy.

Kiedy jego usta musnęły jej usta, zadrżał i posłał ku niebiosom krótką, dziękczynną modlitwę. Nie wiadomo, czy była to pozaziemska interwencja, czy dokonał tego upór dwóch istot ziemskich, czy po prostu sprawił to łut szczęścia, ale prawda była cudownie olśniewająca: ocaleli. Kobieta, którą pokochał, była w jego ramionach. Nie zawiódł jej.

Tak. Pokochał. Zgodnie z tradycją Garrettów, czyli w tempie ekspresowym. Był pewien swego uczucia, jak również tego, że chce być razem z Katie. Z tym jednak wiązał się poważny problem. Katie zarabiała na życie jako łowca burz. Ich szaleńcza ucieczka do schronu była najlepszym dowodem na to, jak niebezpieczna jest ta praca, której Katie, jak można było sądzić, jest pasjonatką. Josh nie miał prawa domagać się od niej, by zmieniła zawód, ale nie miał też pewności, czy byłby w stanie zaakceptować tak niebezpieczne zajęcie,

które być może pewnego dnia zabierze mu ukochaną żonę. Straciłby ją, tak jak kiedyś stracił Marianne.

Straszliwy pociąg przejechał nad ich głowami, w schronie zapadła cisza.

- Już po wszystkim, Katie. Tornado poszło dalej. Wracamy do domu.

- Do... dobry pomysł - powiedziała, szcękając zębami.

Na dworze było bardzo ciepło, ponad trzydzieści stopni, ale woda w schronie, do którego nigdy nie zajrzał nawet jeden promień słońca, była lodowato zimna. Dodając do tego stres, Katie musiała być przemarznięta do szpiku kości. Wniosek dla Josha był oczywisty: trzeba jak najszybciej jechać na ranczo.

Odszukał w ciemnościach rękę Katie i zaczęli przesuwając się wzdłuż betonowej ściany, szukając schodów. Po chwili stopą natrafił na kamienny stopień.

- Wychodzimy, Katie.

Wyprowadził ją ze schronu. Kiedy zamykał drzwi, usłyszał cichy okrzyk.

- O matko...

- Co się stało, Katie?

Spojrzał na nią przez ramię. Katie, blada jak ściana, pokazywała palcem w dół. Podążył za nim wzrokiem i zobaczył, jak z jego buta ześlizguje się zielony wąż i znika w trawie.

Josh roześmiał się.

- Trudno mu się dziwić, skarbie. Też chciał przeżyć tornado.

Zalany wodą schron na pewno był pełen takich stworów, ale wołał o tym nie informować Katie, tylko objął ją ramieniem i razem rozejrzeli się dookoła. Josh patrzył na to miejsce ze ściśniętym sercem. Przed pięcioma laty stał dokładnie w tym samym miejscu, patrząc na straszliwe spustoszenie, jakiego dokonało tornado. Tym razem wyglądało to inaczej. Nie było kupy desek i rupieci w miejscu, gdzie kiedyś stał jego dom i ranczerskie zabudowania. Nie musiał z rozpaczą w sercu szukać ukochanej kobiety, którą zostawił samą w domu.

- Josh, popatrz! - zawołała Katie. - Nie wierzę własnym oczom! Mój samochód jest właściwie... nietknięty!

Dzielny wehikuł nadal sobie stał, co prawda parę metrów dalej i odwrócony w drugą stronę, ale wcale nie był zdemolowany.

Prawdopodobnie wir podniósł go, przekręcił nim jak dziecinną zabawką, a potem cudownym zrządzeniem losu opadł na ziemię. Josh szybko dokonał pierwszych oględzin.

- Faktycznie, nie wygląda źle - stwierdził. - Trzeba będzie go polakierować, mechanik na pewno znajdzie jakieś drobne uszkodzenia, ale można nim jechać.

Otworzył drzwi samochodu, pomógł wciąż rozdygotanej Katie ulokować się w środku i zajął miejsce za kierownicą. Po kwadransie szybkiej jazdy zajechali przed dom. Josh chwycił ukochaną za rękę i pociągnął za sobą na piętro, do swojej łazienki. Ściągnął z Katie mokre ubranie, sam się rozebrał i oboje stanęli pod błogosławionym strumieniem rozkosznie ciepłej wody.

Szczęśliwe zakończenie niebezpiecznej przygody? Wcale nie, bo od chwili, gdy opuścili schron, Katie wypowiedziała zaledwie kilka słów i nadal była milcząca.

- Już wszystko w porządku, skarbie - powiedział. - Jesteś bezpieczna. Delikatnie zaczął namydlać jej szczupłe plecy, dekolci, małe piersi. Napotkał jej wzrok. W niebieskich oczach była tylko uległość i bezgraniczne zaufanie. Oczy kobiety, która całkowicie zawierzyła swojemu mężczyźnie.

Delikatnie spłukał mydło i objął Katie, składając w duchu przysięgę, że jeśli będą razem, nigdy jej nie zawiedzie. Nigdy, do końca swoich dni.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Kiedy Katie obudziła się następnego dnia, ciemność nocy dopiero zaczynała przechodzić w poranną szarość. Deszcz nadal padał, a to świadczyło, że w najbliższym czasie na terenie rancza Broken Bow nie zajdą żadne niepokojące zjawiska wymagające obserwacji.

Dobrze, że tak się stało. Z wielu względów, także dlatego, że będzie to dobrym usprawiedliwieniem jej nagłego wyjazdu z rancza. Przecież nie może zdradzić Joshowi prawdziwego powodu swego wyjazdu.

Duma nie pozwala wyznać miłość człowiekowi, który wcale nie pragnął trwałego związku. A tak było. Tej drugiej, wspólnej nocy, kiedy znów kochali się jak wariaci, powiedział jej:

- Chcę, żebyś pamiętała o mnie po powrocie do Albuquerque.

Czyli zakładał, że ona wyjedzie. To jedno jego zdanie roztrzaskało jej serce na tysiąc kawałeczków i właśnie dlatego podjęła decyzję o natychmiastowym wyjeździe. Wystarczyły dwa dni, żeby Josh skradł jej serce. Wolała sobie nie wyobrażać, ile kosztowałoby ją rozstanie po kilku wspólnie spędzonych tygodniach.

Bóg jeden wie, jak ciężko jej wyjeżdżać po tych dwóch dniach, ale musi to zrobić, żeby zachować resztki godności.

Zrobi to zaraz.

Ostrożnie wysunęła się spod ramienia Josha i wstała z łóżka.

Pochyliła się i musnęła wargami policzek pogrążonego w głębokim śnie ukochanego.

- Proszę.... pamiętaj o mnie, Josh...

Nie otwierając oczu, przekręcił się na bok, żeby objąć Katie, ale ręce natrafiły na pustkę. Jedynym dowodem, że tej nocy - równie cudownej jak poprzednia - nie spędził sam, był słodki zapach unoszący się nad poduszką.

Odrzucił kołdrę i nie zamierzając tracić ani jednej cennej minuty, pognął do łazienki. Był pewien, że Katie jest na dole i toczy dyskusję z Earlem na wiadomy temat, a mianowicie co obdarzony rozumem człowiek powinien zjeść na śniadanie.

Nowy dzień. Dobry dzień, bez potrzeby uganiania się po okolicy za burzą. Na szczęście pogoda się zmieniła. Josh chciał dzisiaj pokazać Katie ranczo, miał też nadzieję, że uda mu się namówić ją na wspólny wypad do Amarillo i wybranie trochę mebli do jego pustego domu.

Wszedł do kuchni i znieruchomiał. Za stołem siedział tylko Earl.

- Gdzie Katie?

Brazowe oczy starego przyjaciela spojrzały na niego bardzo smutno.

- Wyjechała - powiedział przygnębionym głosem i przeczesał sękatymi palcami białe jak mleko włosy. - Próbowałem ją zatrzymać, ale nie chciała mnie słuchać. Wyglądała tak, jakby przed chwilą płakała.

A Josh poczuł się tak, jakby muł kopnął go w żołądek.

- Kiedy odjechała?

- Dosłownie przed chwilą. Właściwie to żeście się rozminęli

- Mówiła ci, którą drogą pojedzie?

- Nie. Ale... - na twarzy Earla pojawił się szeroki uśmiech - spytała tylko, czy drogą, którą jechaliście wczoraj, można dojechać do drogi stanowej 70.

- Świetnie. Zaraz ją dopadnę.

Biała furgonetka pojawiła się nagle. Wyjechała z boku, z pola, wjechała na drogę i wyhamowała gwałtownie. Katie też wyhamowała równie gwałtownie, dzięki czemu nie doszło do zderzenia. A kiedy zobaczyła, kto wysiada z białej furgonetki, serce podskoczyło jej do gardła.

Josh, jak zwykle, wyglądał imponująco. Nie, jeszcze bardziej niż zwykle, bo był wściekły. Cały aż buchał tą emocją, co dodawało mu groźnej malowniczości.

Podszedł do drzwi i szarpnął za nie.

- Co ty wyrabiasz, Katie? - Głos, o dziwo, był w miarę spokojny, znak, że Josh próbuje jednak zapanować nad sobą. - Po tych dwóch nocach można by się raczej spodziewać, że jeśli wyjedziesz, to nie zrobisz tego bez pożegnania!

- Myślałam, że tak będzie lepiej... - Zamilkła z obawy, że jeszcze jedno słowo i całkowicie się załamie, przez co zrobi z siebie kompletną idiotkę.

- Aha. Czyli twoim zdaniem najlepiej było wyjechać stąd po cichu.

Uciec jak złodziej, zamiast porozmawiać o tym, co wydarzyło się między nami. I co zamierzamy z tym zrobić! - Wsadził rękę do samochodu i przekręcił kluczyk w stacyjce. - Przykro mi, skarbie, ale jestem innego zdania.

- Josh, ja naprawdę nie widzę powodu...

- Ale ja widzę. Katie, powiedz mi, tylko zupełnie szczerze, dlaczego uciekłaś.

- Bo ja... bo ja chciałam wyjechać jak najprędzej. Bałam się, że im dłużej tu zostanę, tym trudniej mi to będzie zrobić.

- Dlaczego trudniej?

- Dlatego, że... że cię kocham, Josh. Pytanie, odpowiedź, pytanie, odpowiedź. Zanim zdążyła pomyśleć, wyznała prawdę. Trudno, może to i lepiej. Dzięki temu wszystko poszło nadzwyczaj sprawnie, wręcz wzorowo, jak na pokazowej debacie podczas uniwersyteckiego seminarium z komunikacji społecznej.

Lecz debata dobiegła końca i czas ruszać w samotną drogę... ku jeszcze gorszej samotności.

Jednak reakcja Josha była całkiem nieoczekiwana. Katie omal nie umarła, wszystko bowiem zawirowało wokół niej. Najpierw bowiem Josh wrzasnął - był to niewątpliwie okrzyk największej radości - a potem, jakby niepomny swej siły, wyrwał Katie z samochodu i nie wypuszczając z objęć, odstawił na drodze dziki, szalony taniec, łączący w sobie elementy rytualnych piasów Zulusów, Papuasów i wszelkich innych pierwotnych ludów, niemający natomiast nic wspólnego z tym, co przez długie wieki z takim trudem wypracowała nasza cywilizacja na salach balowych.

- Josh! Zwariowałeś? Co ty wyrabiasz?

- Co wyrabiam? Obejmuję kobietę, którą kocham nad życie!

- Co?! Co powiedziałaś?

Postawił ją na ziemi i spojrzał bardzo wymownie jej w oczy.

- Powiedziałem, że cię kocham nad życie, Katie Davidson.

- Ty... mnie? - Bezradnie potrząsnęła głową. - Nie wierzę. Dziś w nocy powiedziałaś, że chcesz, żebym po powrocie do Albuquerque nie zapomniała o tobie. Z góry przesądziłaś, że stąd wyjadę, więc ja...

- Och, Katie! Ty głuptasie! Chodziło mi o to, żebyś nie zapomniała o mnie, jak wrócisz do tego swojego laboratorium, a to dlatego, że zamierzam teraz bardzo często wpadać do Albuquerque.

Poczuła, że z wielkiej ulgi łzy napływają jej do oczu.

- Na... naprawdę, Josh? Chcesz spotykać się ze mną?

- Tak naprawdę chcę czegoś więcej, Katie. Nie tylko umawiać się z tobą. Chcę prosić cię o rękę. Chcę, żebyś została moją żoną i zamieszkała ze mną tu, w Broken Bow. Ale... - Jego twarz spochmurniała. - Nie podoba mi się to twoje łowienie burz, chociaż jednocześnie zdaję sobie sprawę, jak ważna jest dla ciebie twoja praca. I nie mam prawa prosić, żebyś z niej zrezygnowała.

- Ależ Josh! Wcale nie jestem łowcą burz! Tak naprawdę to z zawodu jestem szczurem laboratoryjnym.

- Hm... kim?!

- Analitykiem pogody. To ktoś taki, kto gromadzi dane zebrane w terenie przez innych, dokonuje analizy i opracowuje modele, które są pomocne w przewidywaniu złych warunków atmosferycznych. Tak mniej więcej to wygląda. Przyznam ci się też, że wcale nie przepadam za pracą w terenie.

- To jakim cudem się tu znalazłaś?

- Tamtego dnia, kiedy pochowano Marka, przysięgłam sobie, że będę kontynuowała jego badania. Dokończę to, co on zaczął. - Głęboko odetchnęła, jakby na zawsze żegnała się z przeszłością. - Nie potrafiłam się pogodzić, że Mark odszedł, więc chciałam w ten sposób sprawić, żeby przynajmniej jakaś jego część wciąż żyła.

- Rozumiem, Katie. Ale teraz... czy gotowa jesteś zacząć nowe życie?

- Tak, Josh. - Uśmiechnęła się do niego, przyłożyła dłoń do jego policzka. - Moja przyszłość jest tutaj, na ranczo.

- A co z pracą? - Pocałował ją w czubek nosa. - Nie chcę, żebyś z niej zrezygnowała, dopóki naprawdę sama tego nie zechcesz.

- Nie ma problemu, Josh. Skontaktuję się z Instytutem Meteorologii i Gospodarki Wodnej w Amarillo. Już kilkakrotnie proponowali mi etat. Poproszę, żeby pamiętali o mnie, kiedy znów pojawi się taka możliwość.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

Nie miała żadnych wątpliwości. Ten mężczyzna w ciągu dwóch dni stał się dla niej kimś najdroższym i najważniejszym na świecie.

- Nigdy jeszcze nie byłam czegoś tak pewna. Przecież cię kocham, Josh.

Burza uczuć

Sił natury nie można zwalczyć...

Żywioły i ludzka namiętność są tak samo nieprzewidywalne
i niebezpieczne...

Kathie DeNosky Tornado

Teksas

Josh Garrett, właściciel ogromnego rancza, nie zgadza się, by Kathie Davidson, meteorolog i łowczyni burz, samotnie tropiła zbliżające się tornado. W rezultacie Kathie staje w obliczu dwóch nadciągających kataklizmów: potężnej nawałnicy i rosnącej namiętności między nią a Joshem...